AS



KRÓL STEPA

FOT. S. ENKELMANN — BERLIN.

Nr. 6
7 LUTEGO 1937 R.
CENA 40 GROSZY

MARY MAYER

URODA NA NARTACH

Prawie zawsze dwa razy do roku uciekamy z miast, aby na łonie natury pokrzepić stargane nerwy, podciągnąć nadwątlone zdrowie — wypocząć — przysparzając sił organizmowi. Wracamy potem pełni radości życia i chęci do pracy. Jeżeli zimą uda się wymknąć z mglistej atmosfery wielkiego miasta w okolice górzyste jesteśmy podwójnie dumni i szczęśliwi, bo wyprawa w góry należy do specjalnego rodzaju uczty dla duszy i ciała.

Miękki, puszysty śnieg, w migotliwych, gwiaździstych kryształkach rozedrgany w słońcu, rozpędzone szyny nart, bez tchu, bez oglądania się za siebie!... Błyskawiczne zjazdy! — Czyż to nie wspaniałe!? Więc zrozumiałym jest „pęd" do sportu narciarskiego wszystkich tych, co miłują słońce, pogodę ducha i swobodę...

Z punktu widzenia higjenicznego — sport narciarski należy specjalnie polecać. Wytężona działalność całego ciała, intensywność zastosowania gimnastyki we wszystkich grupach mięśni sprawia, że narciarstwo stawiamy na czołowym miejscu sportów zimowych. A poza tem uprawianie tego sportu umożliwia stosowanie kąpieli powietrznych i słonecznych — w promieniach słońca górskiego. Naturalnie będziemy je stosowali umiejętnie z największą korzyścią dla nas. — A więc nigdy przy długich zjazdach, które dają stosunkowo mało ruchu, poza utrzymaniem równowagi, oraz kiedy wieją gwałtowne wiatry. Ale w cudne słoneczne dni — jaknajwięcej! Ćwiczy się wówczas na jakiemś zboczu nie robiąc dużych zjazdów, skręty z oporami, rozmaite skoki. Prawdziwa narciarka nigdy nie zaniedbuje tych ćwiczeń. W ubraniu nie należy ćwiczyć: jest za gorąco, niewygodnie, skóra nie może dostatecznie oddychać. Ćwiczenia więc najlepiej wykonywać w kostjumie kąpielowym w ciągu 10—15—20 minut, zależnie od wytrzymałości danego organizmu i od stopnia przygotowania narciarza. Poza tem należy pamiętać, że w czystem, wolnem od pyłu powietrzu, na pewnej wysokości, zimą, w śniegu — przenikanie promieni ultra-fioletowych słońca jest intensywniejsze, a nadmiar stosowania kąpieli na ciało niezahartowane i niezabezpieczone, może spowodować bolesne poparzenia skóry. — Nie wolno o tem zapominać, ale z całą świadomością złych skutków ochraniać skórę (oliwą namaszczając lub kremem), a zdrowy i kwitnący jej wygląd uzyskamy nawet przy minimalnym wysiłku. Tyle o kąpielach całego ciała. Natomiast szczególną uwagę poświęcić musimy skórze twarzy, ze względu na to, że najbardziej będzie ona narażona na wpływy atmosferyczne. Nie muszą to być zabiegi skomplikowane, bo nie mamy czasu ani ochoty zabierać w podróż ze sobą całej masy najróżnorodniejszych specyfików kosmetycznych. Wystarczy jeden dobry, o luźnej konsystencji krem i mleczko, którem można wykonać zabieg oczyszczający codziennie na noc i zrana. Nie jest to kłopotliwe. Nawet w pozycji leżącej, tuż przed zmrużeniem oczu możemy dokonać tej funkcji zdjęcia maquillage'u, odświeżenia skóry watą zwilżoną odrobiną mleczka. Rano zabieg oczyszczający można powtórzyć. Nawet przy skórze tłustej , zabieg oczyszczający mleczkiem nie zaszkodzi, a raczej zabezpieczy przed wiatrem i chłodem. Niezbędnym okaże się tutaj krem odżywczy, który zastosujemy po umyciu mleczkiem na skórę wybitnie suchą, a skłonną do łuszczenia się lub pomarszczoną. Cieniutką warstwą rozłożony, tak cieniutką, aby tworzył dostrzegalny pancerz ochronny przeciw podmuchom wiatru, krem odżywczy zabezpieczy skórę od wszystkich niekorzystnych zmian — nawet przy najbardziej intensywnym stosowaniu sportów. Poza tem większa porcja oliwy kosmetycznej, do namaszczeń ciała na czas trwania kąpieli słonecznych całkowicie i skutecznie wyczerpie asortyment kosmetyków na dzień, ponieważ pudru i szminki w dzień podczas uprawiania sportu nie należy stosować. Rozjaśniona w słońcu i zaróżowiona większym dopływem krwi na skutek fizycznego wysiłku skóra — bez sztuki okaże się zdrową i piękną. Natomiast wieczorem upiększanie sztuczne staje się konieczne. Nie można więc wyeliminować z podróżnej walizki różu, pudru, tuszu, perfum, emalji... Wieczorem, na salę dancingową należy złagodzić sportowy charakter twarzy przez misterne rozprowadzenie różu na policzkach (naturalnie po uprzednim zabiegu oczyszczającym przy pomocy mleczka). Lekka warstwa pudru w tonie kolorytu twarzy, posrebrzone lub pozłocone powieki, kunsztownie położona emalja na maquillage'u, ufryzowane rzęsy, po mistrzowsku uczesane włosy zapewnią powodzenie i chytrze, przebiegle odgrodzą Panią z dancingu od Pani-sportsmenki, żądnej i łakomej śniegu, słońca i... równowagi na nartach!



Wełniana czapeczka z daszkiem, sweter z jasnej włóczki, wełniane rękawice kombinowane z futrem foki lub morsa — oto rekwizyty pięknej narciarki.

Fot. Willinger — Wiedeń.



Płaszcz z irchy, podbity strzyżonym białym barankiem, uzupełnia świetnie strój narciarki.

Fot. Georges Saad.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁĄC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 6 **Niedziela 7 lutego 1937** **Rok III**

W dniu imienin P. Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego przybył na Zamek, p. Marszałek Rydz Śmigły, który złożył Dostojnemu Solenizantowi życzenia w imieniu naszej armji i w swojem własnem. Podczas pogawędki P. Prezydent Rzeczypospolitej zainteresował się piękną szablą ofiarowaną P. Marszałkowi przez armję. Nasze zdjęcie ukazuje nam chwilę, w której prof. Ignacy Mościcki ogląda piękną pamiątkę.

FOT. „AS"

PLASTYKA SCENICZNA w teatrach Poznania.



Dekoracja Zygmunta Szpingiera do opery »Kniaź Igor« (Teatr Wielki, Poznań).

Dziś usunięto z teatru dekoratora i dekoracje. Wprowadzono w teatralne mury artystę-plastyka, który, współpracując przy inscenizacji utworu dramatycznego, ma artystycznie skomponować przestrzeń sceniczną. Pracę jego nazwano — scenografją. Drobiazg ten: nowe odpowiedniejsze nazwy — jest tylko telegraficznem określeniem olbrzymich zmian, jakie zaszły w zapatrywaniach na rolę plastyka w teatrze, jest również potwierdzeniem, że w teatrze nowoczesnym malarstwo i plastyka nie są dekoracją i tłem, ale czynnikiem współtwórczym w montowaniu skomplikowanego i kunsztownego dzieła sztuki, jakiem jest widowisko teatralne.

Naturalnie, że plastyka teatralna samoistnej roli na scenie odgrywać nie może, artysta-plastyk musi podporządkować się inscenizatorowi, t. j. temu, który na podstawie dostarczonego mu tekstu z wielu elementów stwarza jedno dzieło żywej sztuki scenicznej. Lecz jaką jest właściwa rola sztuk plastycznych w teatrze? Tyle będzie sądów — ilu ich głosicieli. Niewątpliwie decydować o tem będą nie teoretycy, ale indywidualności twórcze.

Jednym z wybitnych plastyków scenicznych, artystą nawskróś oryginalnym jest poznański Zygmunt Szpingier. „Poznański", bo, mimo wielu nęcących propozycyj warszawskich i zagranicznych, poświęcił swą teatralną działalność scenom rodzinnego miasta: dramatycznemu Teatrowi Polskiemu i Teatrowi Wielkiemu, jego operze i operetce.

Inne są zadania artysty plastyka w teatrze dramatycznym, a inną jego rola przy wystawianiu oper, a zwłaszcza operetek (w wielkim teatrze muzycznym z prawdziwego zdarzenia!). Szpingier w obu rolach jest wartościowy i twórczy, co najlepiej świadczy o jego kulturze i talencie.

Gdy przed kilkunastu laty nieistniejące dziś „Życie Teatru" ogłosiło ankietę na temat roli malarstwa scenicznego, poeta i powieściopisarz Józef Wittlin powiedział:

„Uważam, że malarstwo sceniczne jest — w czasach dzisiejszych — niejednokrotnie najgłówniejszą persona dramatis, zwłaszcza, jeśli wychodzi poza ramy czystej dekoracyjności. W dobie upadku słowa poetyckiego na scenie i rozkwitu sztuki kinematograficznej— musi się teatr pokusić o takie dekoracje, któreby byłyby zdolne konkurować z kinem i dać niejednokrotnie surogat poetyczności zbywającym słowom dialogu. Chcąc wytrzymać konkurencję wystawy kinowej, musi dekorator teatralny posługiwać się albo samodzielnym wyrazem malarskim pewnych stanów psychicznych, a więc wyjść poza czystą dekorację, albo stwarzać szereg złudzeń wzrokowych, umożliwiających wzmożone złudzenia słuchowe (dla widza i słuchacza)".

A Wacław Rogowicz, wybitny kry-

Na prawo: Zygmunt Szpingier, inscenizator plastyczny teatrów Wielkiego i Polskiego w Poznaniu.





Powyżej: Dekoracja Z. Szpingiera do komedji Lichtenberga »Mecz małżeński« (Teatr Polski, Poznań).

Na prawo: Z. Szpingier: Szkic dekoracji do komedji Szekspira »Wieczór Trzech Króli«



tyk, napisał: „Ponieważ zadanie inscenizacji jest uplastycznieniem widzowi wizji autorskiej zapomocą przedstawienia jej w projekcji gry scenicznej — nie tylko aktor, statysta i rekwizyt, lecz i dekoracja (malowana, t. zw. plastyczna czy świetlna) musi też grać. Grać musi i kostjum aktorski, który jest znów częścią dekoracji scenicznej, częścią integralną. Dlatego też dekorator, który w swej kompozycji malarskiej nie sharmonizuje tła z kostjumem aktora, może być świetnym malarzem-dekoratorem, ale nie jest dekoratorem scenicznym".

Można nie godzić się z Wittlinem, że dekoracje w teatrze dramatycznym mają konkurować z wizjami plastycznemi kina, ale można sądy obu wyżej cytowanych autorów odnieść niemal w stu procentach do roli plastyka w operze i operetce, gdzie wszystko zależy od dźwięku, kształtu scenicznego i barwy. A w operetce często najwięcej od dwu ostatnio wspomnianych czynników. Inscenizacja plastyczna w operetce swym przepychem i ruchem może — a często musi! — konkurować z kinem, tem jeszcze nad niem obecnie górując, że ma do dyspozycji grę barw.

I w tem właśnie mistrzem jest Zygmunt Szpingier, którego plastyczne inscenizacje takich operetek współczesnych, jak „Bal w Savoyu" i „Rose-Marie", nie miały równych w całej Polsce. Jego kunszt bił wszystko: muzykę i wykonanie aktorskie, on decydował o rekordach powodzenia. Szpingier daje świetne płótna dekoracyjne, doskonałe w perspektywie, smaczne w kolorycie, architektonicznie zabudowuje scenę celowo i artystycznie, z dekoracjami zestraja pomysłowo barwę kostjumów aktorów, chórów i baletu, co w sumie daje niebywałe efekty kolorystyczne. Np. w scenie balowej operetki „Bal w Savoyu" kapitalnie trzy barwy kostjumów baletu: orange, biały i fiolet dostrajały się do jasno-żółtej dekoracji, każdy z nich grał odrębnym tonem, a całość była niezwykle harmonijna. Szpingier pomysłowo wprowadza do swej architektury scenicznej kilka kondygnacyj, co daje korzystne efekty także i w operach (zwłaszcza świetne plastyczne opracowania oper „Cyrulik Sewilski", „Faust" i „Beatrix Cenci").

W bieżącym sezonie wielki sukces odniósł Szpingier inscenizując plastycznie w Teatrze Polskim „Mirandolinę" Goldoniego, a zwłaszcza „Wieczór Trzech Króli" Szekspira, przy współpracy reżyserskiej (doskonałej!) Bronisława Dąbrowskiego. Inscenizacja ta „starała się uchwycić tradycyjną umowność i wdzięk prymitywu, cechy charakteryzujące spektakle szekspirowskie i przetransponować je na neorealistyczne środki sceniczne".

Szpingier jest również wyjątkowym wprost wśród plastyków scenicznych projektodawcą bardzo nowocześnie komponowanych wnętrz, pełnych prostoty, światła i przestrzeni, smacznych w kolorycie. Niezrównanie umie wykorzystać szczupłość miejsca (jakże maleńką jest scena w Teatrze Polskim) dając na wąskiej przestrzeni kilka planów, dużo powietrza, sporo miejsca dla rozwinięcia sytuacyj scenicznych.

Notując na tem miejscu prace i znaczenie Zygmunta Szpingiera jako plastyka teatralnego, wyrazić tylko muszę żal, że, poświęciwszy się teatrowi, zapomniał o swej ciekawej, często świetnej twórczości — że się tak wyrażę — „cywilnej".

P. S. Dla ścisłości „historycznej" zaznaczyć trzeba, że w poznańskim Teatrze Nowym ciekawe i dobre wnętrza dosztuk współczesnych daje Grabczyk, a syntetyczna insceniczacja plastyczna „Róży" Żeromskiego, projektowana przez Janinę i Juljusza Balickich, spotkała się z jednogłośnem uznaniem krytyki.

(s. w. bal.)





Zygmunt Szpingier: »Stary Paryż«.

Na lewo: Zygmunt Szpingier: Modelka.

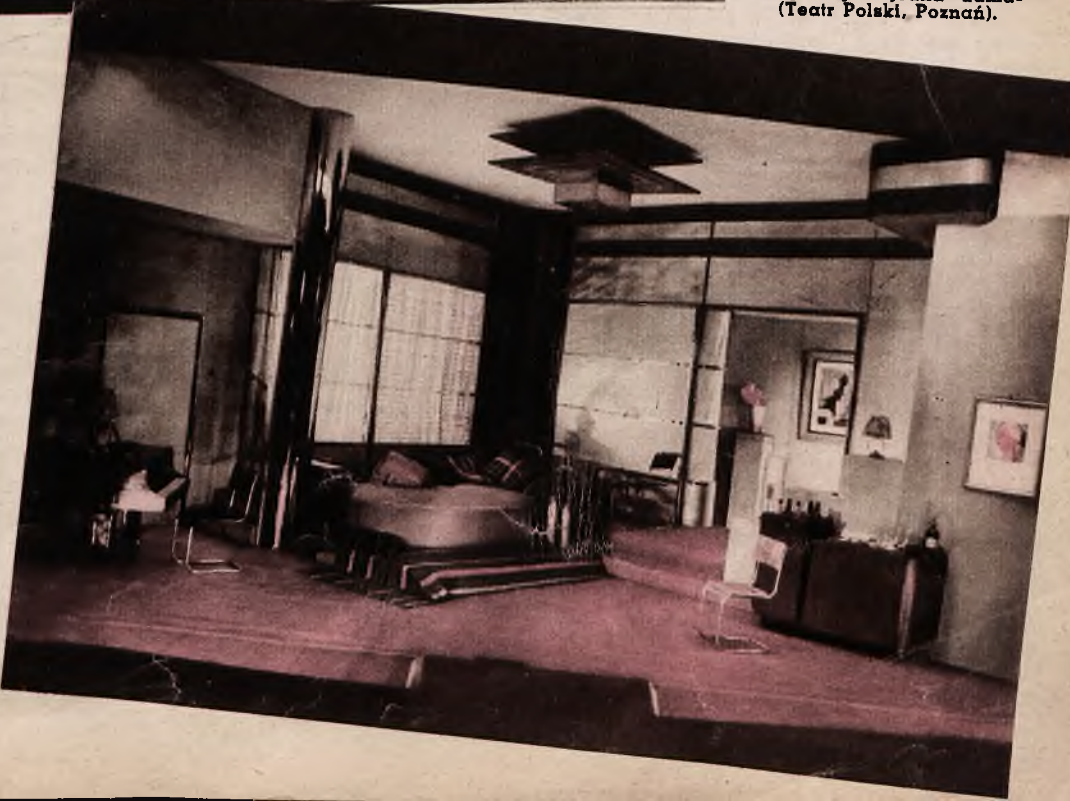


Operetka »Rose-Marie« w Teatrze Wielkim w Poznaniu. Obraz V. Dekoracja i kostjumy projektu Szpingiera.



Na lewo: Dekoracja Z. Szpingiera do opery Rossini'ego "Cyrulik Sewilski (Teatr Wielki, Poznań)

Poniżej: Dekoracja Z. Szpingiera do komedji Amiela: »Trzy asy i jedna dama« (Teatr Polski, Poznań).




Kormoran w chwili, gdy chwyta zdobycz pod wodą.

SKRZYDLACI RYBACY

Człowiek skierował broń nietylko jako myśliwy przeciw różnym zwierzętom łownym, które dawały mu jakąkolwiek korzyść: piękne futro lub pióra czy też wkońcu smaczne mięso, ale także dla swej wygody wykorzystał instynkt łowiecki czworonożnych lub dwunożnych stworzeń, wytresował je i nauczył walki z ich dzikimi współbraćmi

Od dawien dawna pies, wierny towarzysz człowieka, poluje z nim zapamiętale. Chart czy wyżeł ściga zająca, jamnik zakrada się do nor borsuczych, inne tresowane są dla tropienia zwierzyny grubszej, lub ptactwa


Rodzina kormoranów na gnieździe.

błotnego. Słynną była niegdyś wydra pana Paska „Robakiem" zwana, która na rozkaz swego pana przynosiła ze stawu złowione przez siebie ryby.

Zpośród ptaków na pierwszy plan wybiły się drapieżne sokoły, które w dawnych wiekach dawały prawdziwym myśliwym wiele satysfakcji w czasie polowania na zające lub czaple. I dzisiaj jeszcze w niektórych krajach na wschodzie polowanie z sokołami uważane jest za książęcą rozrywkę.

W Chinach zaś i Japonji do dzisiejszego dnia sławą doskonałych rybaków cieszą się kormorany, zwane w języku krajowców „Szima-u". Ich wielką żarłoczność i zręczność chwytania nawet większych ryb wykorzystał człowiek dla swych celów i wytresował ptaki, używając je do rybołóstwa. Dziwny to i interesujący widok, gdy w prosto zbudowanych bambusowych czółnach, leniwo posuwających się po falach, siedzą krajowcy, najczęściej po dwóch i z nadzwyczajną zręcznością przerzucają w rękach linki parumetrowej długości. Do linek tych na specjalnych obrożach przywiązane są kormorany, które zręcznie raz po raz nurkują pod wodę, to znowu wynurzają się nad jej powierzchnię. Od czasu do czasu ciemno upierzony ptak wzbija się w powietrze, rozbryzgując dokoła kropelki wody, aby niebawem osiąść na krawędzi czółna. Ptak wraca ze zdobyczą, którą składa u nóg swego pana.

Wytresować kormorany tak, aby smakowitą dla nich zdobycz przynosiły swemu właścicielowi, nie jest rzeczą łatwą. Długo musi pan szkolić swego wychowanka; jednak trud, poniesiony przy jego wychowaniu sowicie mu się opłaca.

Obroża metalowa tak jest dopasowana na szyi ptaka, aby nie była zbyt wolna, gdyż wtenczas ptak z łatwością połykałby nawet i większe ryby, ani też zbyt ciasna, by nie męczyła „skrzydlatego rybaka".

Z początku przerażony ptak wyrywa się z rąk właściciela, niespokojnie porusza się po wodzie, wkrótce jednak uspokaja się i z zainteresowaniem śledzi przepływające ryby, na które wreszcie zaczyna polować z zapałem, i uczy się odnosić je swemu panu. Po ukończonym połowie, pan zdejmuje kormoranowi obrożę i w nagrodę daje mu część zdobytego łupu.

Zanim „skrzydlaty uczeń" wyszkoli się w swym zawodzie, niejednokrotnie walczy ze swym panem i to przedewszystkiem w chwili, gdy musi oddać złowioną przez siebie zdobycz. Z usposobienia kłótliwy, skory jest wtenczas do bitki i nie żałuje uderzeń swym mocnym dziobem.

Tresuje się tylko kormorany młode, ponieważ łatwiej się oswajają i doskonale znoszą życie w niewoli, pracując z wielką korzyścią dla właściciela przez wiele lat. Są one wielkimi żarłokami, żyjąc na swobodzie, wyruszają zwykle rano na polowanie, poczem odpoczywają i trawią w spokoju pożywienie, aby wieczorem znowu uganiać się za zdobyczą.

Kormorany żyją we wszystkich częściach świata tak nad morzami, jak też i wodami słodkiemi. W największej ilości zamieszkują strefę gorącą i umiarkowaną, chociaż nie brak ich także i w krajach północnych. Wyglądają one z daleka bardzo malowniczo,

Poniżej: Ciekawe zdjęcie ukazujące nam kormorana w pogoni za rybą pod wodą



Poniżej od lewej: Kormorany chętnie przesiadują nad wodą. Kormoran z gatunku Phelacrocorax carbo.



gdy całą gromadą obsiądą nadmorskie skały, gdzie zakładają swe liczne gniazda. — Wrzaskliwe i kłótliwe, nie grzeszą uprzejmością względem innych skrzydlatych stworzeń. Najczęściej tak je prześladują, że znękane ptaki opuszczają nieżyczliwe sąsiedztwo. Na lądzie skupiają się kormorany na drzewach, gdzie zakładają wiele gniazd. — Niedołężne młode długo wychowują w gnieździe, aby je wreszcie wyprowadzić na wodę. W razie niebezpieczeństwa niektóre tylko kormorany wzlatują w powietrze, wszystkie inne szukają ratunku w wodzie, zanurzając się głęboko. Jako doskonali nurkowie chętnie przebywają kormorany pod wodą, na chwilę tylko wyłaniając swe głowy nad powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza; potem znowu znikają w jej głębiach.


Chińczyk wybierający się na połów ryb z oswojonemi kormoranami.

Kormorany, żyjące na lądzie, umieją z wielką zręcznością polować na chyże jaskółki, kiedy te zniżają się nad wodę i muskają skrzydłami jej powierzchnię.

Z pośród 30 gatunków kormoranów najbardziej znane są trzy, a przedewszystkiem kormoran zwany także krukiem morskim (Phalacrocorax carbo), który niekiedy na przelotach zagląda i do nas. Zamieszkuje on prawie całą Europę; żyje także w Egipcie, Chinach, płd. Indjach i Ameryce półn. — Mniejszy od niego kormoran czubaty (Phalacrocorax graculus) przywiązany jest do krajów północnych, zaś najmniejszy, karłowaty (Phalacrocorax pygmaeus) pojawia się w Europie, w Afryce i Azji zach.

Chińczycy i Japończycy hodują kormorany jako ptactwo domowe, które zwłaszcza dla biedaków stanowi źródło dochodu i pożywienia. Wysoka stosunkowo cena kilkudziesięciu dolarów za wytresowanego kormorana opłaca się nabywcy w krótkim czasie, gdyż zakupiony ptak nie próżnuje, ciężko pracując na chleb dla swego pana. Zwykle też kormorany żyją w niewoli znacznie krócej, aniżeli na wolności.

Dawnej znane były tresowane kormorany i w Europie. Na dworze króla angielskiego istniał nawet osobny urząd „kormorannika", ustanowiony przez Jakóba I-go w roku. 1611 Opiekował się on oswojonemi kormoronami, które musiały łowić ryby, podobnie, jak ich krewniacy na dalekim Wschodzie. Łowienie jednak ryb przy pomocy tych zręcznych ptaków nigdy nie miało w Europie takiego znaczenia, jak w Chinach i Japonji.

Dr. Z. M.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Naszemu rodakowi z Ameryki, panu Józefowi Bronowiczowi zawdzięczamy możność reprodukcji pierwszych znaczków z nowej serji Stanów Zjednoczonych. Niedość na tem, że był on uprzejmy, pamiętając o nas, ale wysłał znaczki te natychmiast, w sam dzień wydania, tak, że jesteśmy pierwszem pismem w Europie, któ-





Znaczki z nowej serji U. S. A., dokładnie opisanej w poniższym artykule.

re je reprodukuje! Wyrażamy też nadzieję, że może i w innych cześciach świata znajdą się Czytelnicy-filateliści, którzy pójdą śladami p. Bronowicza; dzięki bowiem współpracy większej ilości osób, każdy z nas osiągnie większe korzyści i zdobędzie najświeższe wiadomości!

Nowa serja zapowiada się wspaniale i obejmie jeszcze dalsze sztuki, prawdopodobnie aż do 10 centów. Będzie to niejako apoteoza amerykańskiej armji i floty i każda wartość zostanie wydana w dwóch egzemplarzach, po jednym dla każdego rodzaju broni.

Kolor na 1-centówce zielony, a dla dwu-centówki karminowy, — wykonanie, ma się rozumieć, najprecyzyjniejszym stalorytem.

Admirał Jones i statek jego Bonhomme Richard widnieje po lewej stronie, a Lexington, to nazwa miejscowości, gdzie Amerykanie pierwsze zwycięstwo odnieśli nad Anglikami. Wszyscy wiedzą, kim był Waszyngton, ale najsłynniejszy po nim dowódca z okresu walk o wolność, Barry, jest już daleko mniej znany. Na znaczkach po 2 c. widzimy wodza Stanów Skonfederowanych generała Jacksona, który zginął na polu walki w czasie wojny ze Stanami Północnemi, a także kilku mniej znanych dowódców, jak Scott, Decatur i Macdonough. Saratoga jest miejscowością, gdzie angielski generał Burgoyne poddał się ze swem wojskiem, co miało decydujący wpływ w walkach niepodległościowych, a wspaniały żaglowiec „United States", to znów admiralski okręt U. S. A. z dawnych czasów.

Wśród ślicznych dawniejszych seryj znaczków U. S. A. ta ostatnia napewno nie zeszpeci albumu, przeciwnie: oczekujemy dalszych sztuk z wielką niecierpliwością! (nazwy Saratoga i Lexington noszą obecnie dwa największe lotniskowce U. S. A., o tonażu 33.000). **W. H.**

ODPOWIEDZI REDAKCJI: P. Józef Bronowicz — U. S. A. Dziękujemy raz jeszcze za listy i znaczki, które reprodukujemy; przypuszczamy, że będzie Pan o nas zawsze pamiętał — a może będzie Pan łaskaw podać nam adresy kilku rodaków-filatelistów za oceanem? Od Philatelic Agency z Waszyngtonu niczego nie otrzymaliśmy.



KALORJE DO KWADRATU

LUDWIK MASCHOFF

NOWELA

Jestem tem wszystkiem bardzo przygnębiony. Przygnębiony i zmartwiony. Wszystko byłoby się udało, gdybym miał tylko 0.000005 grama radu. Lub gdyby te płyty szklanne, były naprawdę szklanne. Tymczasem...

Wszystko stracone! Runął cały mój plan przyszłości, całe moje szczęście, sława... Tak, — sława. A o nią najwięcej mi chodziło. Być sławnym! Raz w życiu być sławnym. Byłbym największym dobroczyńcą ludzkości; byłbym większym aniżeli Marconi lub Graham Bell. Bo ten, przez wynalezienie telefonu, nie zrobił nic nowego. Już przedtem istniał telefon sznurkowy, zapomocą którego można się było bardzo dobrze porozumieć, co prawda tylko na krótkie odległości i trzeba było dość głośno mówić, czasem nawet bardzo głośno, tak aby... ale tego nie mogę zdradzić. Przyznam jednak, że zdarzyło się, iż bez stacji odbiorczej można było stację nadawczą lepiej rozumieć. Ale to nie zmienia postaci rzeczy, że telefon jako taki już istniał i że Bell przez wprowadzenie drutów koniecznie miedzianych, powiększył tylko kolosalnie koszta wprowadzenia aparatu tego w użytek.

O ile prostszem było sporządzenie telefonu sznurkowego? Wystarczyło stare pudełko. Część wierzchnia, jako stacja nadawcza, część spodnia jako odbiorcza, kilka metrów cienkiego sznurka i dobry głos mówiącego. Jako chłopcy dziesięcioletni telefonowaliśmy już w ten sposób. A dzisiaj? Ileż trudu, zachodu i kosztów wymaga sprawienie sobie telefonu wynalazku Bell'a!? Najlepszym dowodem jak niepraktycznem to się okazało, właśnie przez koszt tych drutów miedzianych jest to, że ludzkość była zmuszona do wynalezienia telefonu bez drutu. Sądzę, że dzięki temu, stały się telefony teraz tańsze. Wogóle cała „telefonja" nabrała estetyczniejszego wyglądu. Jestem ciekawy, co sobie o nas myśleli mieszkańcy Marsa, patrząc przez lunety na nasz padół płaczu? Mieli prawdopodobnie wrażenie, że nasza kula ziemska rozpada się i podrutowano ją miedzianą siecią kabli, drutów, drucików... Wszystko zniknie. Precz z drutami, precz z wynalazkiem Bella! Żyjemy pod znakiem telefonu bez drutu!

A mój wynalazek? Ileż szczęścia przyniósłby on ludzkości! Jaki przewrót w technice! Jakby mnie błogosławił świat cały, uwielbiał i czcił, gdyby wszystko doszło do skutku, gdybym miał tylko 0.000005 gr. radu, i wynalazek mój przeprowadził planowo do końca. Ludzkość postąpiłaby w technice o setki lat naprzód! Zniknęłyby wszelkie maszyny dzisiejszych przestarzałych systemów. Usunięłoby kominy na dachach, powietrze nie zatruwałby dym, nikt nie potrzebowałby wyjeżdżać z miast na świeże powietrze, ponieważ ono byłoby wszędzie. Wskutek nie wytwarzania się CO_2, życie ludzkie przedłużałoby się o dziesiątki lat. Kobiety nie starzałyby się tak szybko i nie traciły tak szybko swej urody. Istny raj! Gdybym tylko miał rad! Ale właśnie nie miałem go. I tutaj należy szukać powodu, dlaczego wynalazek mój nie doszedł do skutku. Zwróciłem się do pewnego laboratorjum chemicznego, przekładając szeroko mój plan z prośbą o pomoc. Wyłuszczyłem drobiazgowo każdy szczegół, objaśniłem, zapewniałem... Byłem przekonany, że na drugi dzień przyniesie posłaniec flaszeczkę, zawierającą jakiś roztwór soli radowej. Czekałem daremnie — nikt nie przyszedł. Udałem się do mecenasów sztuki i wiedzy, którzy przy zielonych stolikach przegrywają tysiące — żadnej odpowiedzi. A mój przeze mnie wynaleziony aparat, stał z braku innego miejsca — pod łóżkiem, czekając na rad! Rozpacz mnie ogarnęła. Znikąd pomocy! Przecież nie chciałem tego dla siebie, tylko dla ludzkości, dla świata. Ale świat jest podły, zły, bezwzględny. Nagle zabłysła mi szczęśliwa myśl. Natychmiast zwróciłem się do „Towarzystwa opieki nad zwierzętami", motywując prośbę moją tem, że skoro szanowne towarzystwo ma litość nad czworonożnemi osobnikami, może miałoby trochę względu i dla mojej osoby i dostarczyło mi 0.000005 gr. radu. Po kilku dniach dostałem obszerny i uprzejmy list, w którym zapewniono mnie, że z tą samą miłością, jaką otaczają samopas biegające psy na ulicy i katowane konie dorożkarskie, przyjęto również moją prośbę, niestety jednak, żądaną ilością radu służyć mi nie mogą, bo w statucie pod rubryką „nadzwyczajne wydatki", przewidziane są tylko kagańce i obroże. Jeżeli zechciałbym z tego korzystać, prosi towarzystwo o dokładne podanie wielkości i długości żądanej obroży, a prośba moja będzie przy najstępnem walnem zebraniu towarzystwa... Do końca nie czytałem. Musiałem zrezygnować z owej „psiej miłości", która wzruszyła mnie do łez i myśleć nad środkiem wyjścia, aby wynalazek mój doprowadzić do skutku. Tak, nad środkiem wyjścia. Zdawało mi się, że jedynym środkiem wyjścia będzie właśnie użycie fosforu na miejsce radu. Ale równocześnie zgasła nadzieja, że aparat mój będzie funkcjonował. Zabrałem się odrazu do pracy. Szklanne płyty (że one nie były szklanne, tylko ja o tem wiedziałem), zatem owe szklanne płyty, posmarowałem płynem fosforowym. Pracowałem długo, całe noce smarowałem pendzlem, zniszczyłem sobie przytem ubranie, przepaliłem kilka garnków, narobiłem swądu w mieszkaniu... Związki fosforowe mają dziwnie antypatyczny zapach. Cóż to wszystko wobec idei? Widziałem się — biednego skrybopióra, współpracownika redakcji, która nigdy nie płaci za moje artykuły, — wchodzącego do wielkiej sali wykładowej, aby zebranej publiczności i profesorom fizyki zademonstrować mój wynalazek, a opuszczając po wykładzie salę, ścigany przez przedstawicieli biur patentowych, pragnących za wszelką cenę odkupić mój aparat. Sprzedać chciałem tajemnicę moją za kilka miljonów dolarów, co wobec doniosłości wynalazku, nie zdawało mi się wcale wygórowaną sumą, — naturalnie do Ameryki. Europa, z jej chwiejną, bezwartościową walutą, wcale mi nie imponowała. Byłem przekonany, że kilka dni później, zostanę doktorem h. c. jakiegoś uniwersytetu, a może i członkiem akademji w Paryżu. Szkoda, że kilka lat wcześniej przyszedł mi ten pomysł. Z przyjemnością podałbym rękę koledze Rodinowi.

Przewidywania moje ziściły się w zupełności. To znaczy, aparat wcale nie funkcjonował. Wiedziałem, że tak będzie. Bo skoro zamiast radu użyłem fosforu i płyty zupełnie nie były szklanne...

— Kalorje do kwadratu.

Jestem po części zadowolony, że tak się stało, że wynalazek mój zawiódł. Bo skoro świat jest wobec mnie taki podły, to i ja — — —

Mimo wszystko, przecież mnie to zmartwiło. Zawody takie nie mogą przejść w życiu, nie pozostawiając żadnych śladów. Ryją cierpieniem zmarszczki na czole, bielą włosy, wytwarza się pewnego rodzaju rozgoryczenie, a dusza załamuje się jak składany scyzoryk... Trudno — stało się. Nie ma nad czem teraz rozpaczać. Przepadło. O, gdyby wynaleziony przez mnie aparat funkcjonował, zgasłyby takie nazwiska jak Marconi, Edison, Franklin, Gramofon, Patefon i inne. Gdybym miał tylko trochę radu i płyty były szklane! Czy jest w tem co dziwnego, że aparat zawiódł? Czy jeżeli do herbaty miast cukru nasypie się soli no to... Ale dosyć tego! Mógłby jeszcze kto twierdzić, że rozmyślnie odbiegam od tematu.

Wynalazek mój polega na tem... Ale właściwie, jak mi przyszła owa myśl?

Muszę zacząć od siebie, aby być łatwiej zrozumiałym. Z natury jestem racjonalistą, realistą, pozytywistą. Chciałbym wszystko zmaterjalizować. Pewna dama, która mniema, że mnie rozumie, twierdzi, że jestem z tem bardzo śmieszny. Mało sobie z tego robię. Ja, który jestem zagadkowym problemem, nad którym kiedyś będą sobie biografowie głowy łamali, zostałem nagle zrozumiany przez młodą niewiastę, dokumentującą swe twierdzenie tem, iż mi czule mówi — pan jest tak śmieszny, ale ja lubię, gdy pan tak strasznie śmiesznie mówi. Czy kobiety wogóle wiedzą co to jest pozytywizm? Nie! I dlatego zostanę przy moich zapatrywaniach. Bo właśnie mój pozytywizm zaprowadził mnie do tego wynalazku. Że on zawiódł, wina spada na świat, który zamiast radu, chciał mi dostarczyć kagańca...

Jako człowieka pragnącego wszystko zmaterjalizować, prześladowała mnie myśl, że nieskończenie wielkie ilości energji giną niewyzyskane. Postawiłem sobie za zadanie zmaterjalizować wszelkie energje ginące i wyzyskać je do jakiegoś celu. Przedewszystkiem uwagę moją zwróciłem na promienie słoneczne. Lata całe straciłem na obserwowaniu, jak w czasie upalnych miesięcy rozpala słońce mury, ściany, asfalt, kamienie i t. d. po to, aby człowiek pocił się w ciągu dnia, a w nocy wskutek ochłodzenia drżał z zimna, zaziębiał się, kaszlał, wzywał lekarza, kupował pigułki antykaszlowe, musiał wdziewać na siebie płaszcz letni, leżeć w łóżku. Dlaczego? Bo wszystko wy-

JEJ DRUGI WYRAZ...

Fot. Imre von Santho.

stygło. Czy to jest wyzyskanie energji? Czy to nie wstyd dla fizyków, że dotychczas nie wymyślili aparatów, aby zachować nagromadzone ciepło? W moich oczach to hańbą wiedzy. I ja, właśnie ja jestem pierwszym, który wpadł na pomysł zbudowania akumulatora słonecznego. Obliczyłem na podstawie długich studjów, że jeżeli rad jest w stanie wchłaniać światło i ciepło promieni słonecznych, aby je potem z siebie wydać, to przez odpowiednie urządzenie (jak — to jest moja tajemnica) można wydajność tę regulować i właściwość wchłaniania potęgować. Proszę tylko dobrze baczyć i starać się matematycznie zrozumieć przykład jaki stawiam, aby się niezbicie przekonać o doniosłości mego wynalazku. Otóż — jeżeli przez przeciąg 12 godzin na 1 mm² pada w ciągu upalnego dnia ilość ciepła równająca się 12789250 kalorji, to na tablicę szklanną o powierzchni 20×30 cm², czyli 20×30×100×12789250×90 (liczę trzy upalne miesiące po trzydzieści dni) spada w lecie tyle ciepła, że możnaby tą ilością ogrzać w zimie przy —25°, 1278 teatrów o 2500 numerowanych siedzeniach do temperatury +35° przez przeciąg jednego miesiąca. Obliczenie to dotyczy tylko jednej tabliczki szklannej. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że akumulator mój ma się składać z 10 tablic, można sobie zaledwie w przybliżeniu wyobrazić doniosłość mojego wynalazku. Nie chcę nikogo zamęczać obliczeniami matematycznemi, cyframi dochodzącemi do 45 miejsc, logarytmami, potęgowaniem i t. d. Zależy mi tylko, aby jasno wykazać praktyczność mojego aparatu. Wszystko jest umieszczone w drewnianej skrzyneczce o wielkości 25×35×10 cm. Teraz proszę sobie uzmysłowić, że na miejsce dziesiątek centnarów węgli, stawia się pod kocioł lokomotywy mój mały aparacik, odkręca mosiężny kurek i wypływające ciepło doprowadza po 12 minutach wodę do stanu wrzenia. Ceny jazdy spadają do minimum, każdy może podróżować. — Albo, aparat ustawiony w pokoju, ogrzewa po trzech minutach całe mieszkanie (5 pokoi i kuchnia) do +25°. Oprócz tego, miljony promieni, wydobywających się z aparatu, dają całemu mieszkaniu dzienne światło. Słońce świeci w pokoju, aczkolwiek jest noc. Światło i ciepło! Kupowanie węgli staje się zupełnie zbyteczne. Największy plus, że światło i ciepło, wydobywające się z akumulatora, nic nie kosztuje. Jednorazowy wydatek na kupienie tej małej skrzynki z szklannemi tabliczkami. Mógłbym, jako jedyny produkujący, dostarczać po bardzo niskich cenach, hurtem, naturalnie z odpowiednim opustem. Przyrząd mój możnaby zastosować w wielkich fabrykach, elektrowniach miejskich i t. d. Ceny oświetlenia spadają do zera, wytwory fabryczne tanieją. Ustawienie szeregu takich akumulatorów na ulicach miasta mogłoby zimę zamienić w wiosnę. W grudniu poczęłyby kwitnąć drzewa, możnaby grać w tenisa, w piłkę nożną...

Wszystko skończyło się fiaskiem i wszystko zostanie przy dawnym ustroju. Wydobywający się z kominów dym będzie nadal zatruwał powietrze, śmiertelność będzie się szerzyła w zastraszający sposób, kobiety będą się starzały... Bo nikt na świecie nie mógł się znaleźć, któryby dałby mi 0.000005 gr. radu. Kagańce i obroże...

Pomimo wszystko zdecydowałem się jeszcze raz zaapelować do ludzkości. Gdy uzyskałem pozwolenie na wykład i przed skromnie zgromadzoną publicznością demonstrowałem swój aparat, który nie wydał z siebie ani jednej kalorji ciepła, nie wypuścił ani jednego promyka, obrzucono mnie łupinami z pomarańczy, zgniecionemi w kule gazetami i pudełkiem z zapałek.

A ja marzyłem o kwiatach... Gdy potem zacząłem dowodzić słuchaczom, że gdyby zamiast fosforu był rad, prawdziwy rad, nie wiele, tylko 0.000005 gr. wszystkoby się udało, wynalazek mój torowałby drogę nowej epoce... Nie znalazłem najmniejszego zrozumienia. Wywodami temi zbudziłem jedynie salwy śmiechu i służący wyprowadził mnie dość ostentacyjnie z sali na ulicę, gdzie mi z drugiego piętra rzucono aparat na bruk. Tylko szczątki jego zebrałem z ziemi.

Niepowodzenie, jakiego doznałem, wcale mnie nie zraża. Wszystkie genjalne wynalazki i odkrycia przyjmuje świat „sceptycznie". Jestem z przekonań pozytywistą, racjonalistą, materjalistą. Zacznę teraz budować aparat dla wyzyskania energji elektrycznej znajdującej się w chmurach. Do tego nie potrzebuję radu, tylko trochę żelaza, które pod wpływem prądu zamieni się w magnes, ściągający elektryczność zgóry nadół. Mam w domu paczkę starych gwoździ. Rzecz cała już teoretycznie obmyśliłem. Jestem święcie przekonany, że zbudowanie tego nowego aparatu w zupełności mi się uda i wynalazk mój będę mógł opatentować. Patent sprzedam naturalnie tylko Ameryce.

Niedługo, a będę z pewnością członkiem akademji francuskiej!

ELŻBIETA BERGNER gra w Londynie.

Nazwisko Elżbiety Bergner warto pamiętać, a nawet należy je znać. Zamieszczone poniżej ilustracje najlepiej zadokumentują, jak wielką jest skala talentu świetnej artystki, jeżeli ostatnio potrafiła odnieść niebywały, głośny już na cały świat kulturalny sukces w sztuce Jamesa Barrie'go. Naszczęście publiczność teatralna we wszystkich zakątkach globu będzie mogła może już wkrótce — jakże bowiem siedmiomilowemi butami kroczy naprzód wiedza ludzka i technika — oglądać wielką artystkę w teatrze telewizyjnym.



Elżbieta Bergner jest bowiem pierwszą artystką na świecie, która grała w pierwszym na świecie teatrze telewizyjnym. Było to przed kilku miesiącami, gdy na londyńskiej wystawie radjowej zainstalowano teatr telewizyjny i oddano go do użytku publicznego. Wynalazcą instalacji jest Szkot, inż. John Logie Baird.

Obok Elżbiety Bergner pierwszymi aktorami, których oglądano w teatrze telewizyjnym byli: Jessie Mathews, Charles Laughton i Jack Buchanan.



Sceny z sztuki „Dawid" sir Jamesa Barrie, wystawionej przez „His Majesty's Teatre" w Londynie z udziałem Elżbiety Bergner w roli Dawida.

Zdjęcia fot. M. Lorant, Londyn.



Wybuch wulkanu Merapi na Jawie.
Fot. Wide World — Berlin.

BUNT OGNIA...

Baterja przeciwlotnicza pancernika australskiego „Camberra" w akcji.
Fot. Sport General — Londyn.

ZYGMUNT JORDAN

W ZIMOWĄ NOC

WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE

To były takie dobre czasy — czasy włóczęgi ze strzelbą, bez karty na broń, bez dokładnego pojęcia o zawiłościach etyki myśliwskiej, czy ustawy łowieckiej...

Chodziło się samopas, albo z Antkiem, synem kucharki i ot — tak, z życia uczył się człowiek, co wypada myśliwemu, a co nie wypada. Poznawało się przyrodę, czytało się w niej, jak w nowej, nieznanej księdze i życie samo nasuwało reguły postępowania, uczyło przebiegłości, czujności, a nieraz zmuszało do kontroli własnych postępków.

Strzelił taki szesnastoletni nemrod do zająca na jakiś niemożliwy dystans, naturalnie — bez doraźnego rezultatu, przyszedł na trop, spostrzegał trochę farby na śniegu, parę garstek turzycy, a nazajutrz znajdywał o kilkaset kroków dalej trochę kości, czerwony, zdeptany śnieg dokoła i ślady wron, albo lisa, świadczące, że tu zakończył żywot biedny postrzałek, na pożytek drapieżnej gawiedzi...

Wtedy tak było żal... I zmarnowanego zająca i niepotrzebnego strzału i... sam nie wiem czego...

Albo kiedy zaczął się sezon zajęczy — pamiętam — wyszedłem w pole i ubiłem, jak się później okazało, kotną zajęczycę.

Czarna rozpacz!

Ojciec pokiwał głową i przez dwa tygodnie nie dostałem ani jednego naboju...

To znów polowaniem „na depaka" przez dwa sezony wymiotłem teren tak na czysto, że potem przez parę lat trudno było o zająca.

To są lekcje tak dobitne, że na zawsze zostają w pamięci! Żadne przepisy ustawy, ani obyczaju łowieckiego nie zajdą człowiekowi tak za skórę, jak nauka, zdobyta w terenie własnem doświadczeniem.

— — — — — — — —

„Szanujący się" myśliwy z miasta, ubrany w eleganckie buty myśliwskie, wiedeński dess i kapelusz z piórkiem, mający do wyboru Hollanda, czy express kulowy, używający zawsze nowiutkich naboi z bezdymnym prochem i hartśrutem, gdy usłyszy o polowaniu na zasiadce — o ile nie chodzi o lwa, lub conajmniej rogacza — skrzywi się z niesmakiem.

Czy jednak ma on jakiekolwiek pojęcie o przyrodzie, o życiu zwierzyny...?

Bywa tylko na wielkich polowaniach, gdzie ubitą zwierzynę liczy się na setki. Postawią go na linji i pędzą nań przerażone koty, a on, wyćwiczony w strzelaniu do rzutków, składa się sprawnie z rasowej gołębiarki i ruluje biedne szaraki, jak automat do zabijania w chicagoskiej rzeźni.

Lis w zetknięciu z takim panem durnieje nieraz i wali mu prosto pod lufy.

Łatwa to zdobycz!

— — — — — — — —

A w nocy, kiedy mróz ściśnie świat zamarły i pełnia księżyca oblewa śnieżny krajobraz zimnem światłem, gdy cisza taka dzwoni w uszach, że najlżejszy szmer wydaje się brutalnym hałasem, o... wtedy lis staje się mądrym i czujnym graczem.

Idzie środkiem pola, omijając zdaleka podejrzany krzak tarniny, za którym czai się śmierć; albo wejdzie w gąszcz i choćbyś głowę dawał, że w tem właśnie miejscu przejdzie przez drożynę, daremnie czekasz, dzwoniąc zębami na mrozie; on już bokiem wychynął z krzaków i znajomym rowkiem poszedł...! — daleko w pole...

— — — — — — — —

Stary Jan, stróż dworski, wychodził codzien rano do parku i błądził po ścieżkach, zostawiając za sobą charakterystyczny ślad na śniegu: nogi, obute w olbrzymie słomianki, stawiał palcami bardzo na zewnątrz. Cały park był usiany temi śladami. Nazywało się to w domu, że Jan „chodzi do duchow". — W rzeczywistości cel jego wędrówek był zgoła inny; poprostu chodził za „oślądą"...

Bo stary Jan był łowcą wytrawnym, że bronią jego były różnego rodzaju pułapki i potrzaski. Zastawiał je po całym parku i w polach — na lisa, tchórza, czy kunę, a przy wodospadzie za ogrodem — na wydrę.

Jednego razu złapał się w te paści zając i to rano, kiedy ze sadu wynosił się w pole. Narobił takiego wrzasku, że usłyszałem go aż w domu i przybiegłem na ratunek, myśląc, że to pies morduje gdzieś kota kucharki.

Przy żywopłocie, na końcu ogrodu zastałem już Jana, jak wyciągał oszalałego bólem zająca z okrutnych żelaz.

Stropił się, że go „nakryłem", bo bał się gniewu mego ojca. Ojciec surowo zabraniał mu uprawiania tego rodzaju procederu, bojąc się, że w zastawione żelaza wpadnie któreś z dzieci i pokaleczy się, albo i złamie nogę.

Zmieszanie Jana trwało jednak krótko; zrozumiał, że trzeba ponieść ofiarę za cenę milczenia. Ta ofiara była zresztą dość dotkliwa: zająca dostrzeliłem i odniosłem do kuchni, jako swoją zdobycz; poza tem Jan zdradził mi tajniki swych wypraw „do duchów".

Pokazał mi pomiędzy mnóstwem śladów zajęczych, psich i innych, krzyżujących się po całym parku, świeży, z ubiegłej nocy, ślad lisa na śniegu. Trop prowadził z pól, przez ogród do kurników, tam robił kilka zakrętów i przechodząc dość blisko domu, zawracał do sadu, skokiem przez rzeczkę i spowrotem w pola.

— Co noc łajdak przychodzi — zakończył Jan ten wywiad.

— — — — — — — —

Od tego dnia, co wieczór zasiadałem, dobrze okulany w futro, przy żywopłocie, koło przejścia, wyrąbanego na ścieżce, skąd daleki widok otwierał się na ośnieżone pola i dalej, na malownicze górki za Dunajcem.

Przesiedziałem tak kilka wieczorów i zawsze lis przychodził do parku, ale albo z innej strony, albo wtedy, gdy już zziębnięty i znudzony daremnem oczekiwaniem — odszedłem do domu...

Nazajutrz świeży ślad i złośliwa mina starego Jana, doprowadzały mię do szewskiej pasji. Wiedziałem, że gdzieś w parku miał zastawione żelaza i pragnął mię ubiec w zdobyciu lisa. Zawziąłem się tedy i postanowiłem czekać choćby całą noc.

Wyciągnąłem z szafy długie, filcowe buty ojca, wziąłem ze sobą składane krzesełko i tak wyekwipowany, o późnym zmierzchu wyszedłem na stanowisko.

Styczniowa noc rozparzyła się miljardem gwiazd, księżyc wypłynął na niebo, pola przede mną leżały jasne i puste, zdala tylko czerniał nikły pasek krzaków tarniny, a nad tem wszystkiem majaczyły kontury wzgórz, migotały światełka usianych na zboczach chat.

I cisza... ta dzwoniąca cisza zimowego wieczoru, kiedy każdy krok ludzki z odległego gościńca rozchodzi się daleko wokoło miarowem skrzypieniem. Od czasu do czasu z jakimś niewyczuwalnym, leciutkim podmuchem przychodził głos dziwny, jednostajny i spokojny: to Dunajec, odległy o parę kilometrów, szumiał swoją odwieczną pieśń drogi i walki z krępującymi go brzegami...

Dłuższy czas siedziałem nieruchomo, wsłuchany i wpatrzony w przestrzeń, gdy wzrok, błądzący w sinej pustce, zatrzymał się na czemś, ciemniejszem od otoczenia. Właściwie trzeba było patrzeć obok tego „czegoś", aby uświadomić sobie rozpływającą się, mglistą plamkę na sino-białem tle śnieżnej płaszczyzny; patrząc wprost na nią, nie widziało się nic.

To coś poruszało się, nabierało ostrości, aż niedaleko ogrodu skręciło w bok i przepadło za wałkiem.

Zając, czy lis...?

Gdzieś, od sąsiedniej wsi zaśpiewał ktoś... pewnie pijak jakiś... o... śpiewa ochrypłym głosem, wydziera się na całe gardło... Teraz zaturkotał wóz na jakimś mostku i znów cisza...

A z prawej strony inny cień ukazał się na grzbiecie wałku. Szybko przebiega kilkanaście kroków, zatrzymuje się i powraca wtył, aby znów po chwili powtórzyć ten manewr. To chyba zając...

Tak dobrze jest siedzieć i patrzeć na to, co się w nocy dzieje w polu...

Po głowie błąkają się różne dziwne myśli, jakieś przypomnienia, jakieś stare rozmowy nieznaczące, niewiadomo, czyje; jakaś melodja znajoma kołacze do świadomości, usta składają się mimowoli do gwizdania... takby się chciało pochwycić ulatujące tony... ale ciszy naruszać nie wolno — i dalej myśli wałkonią się po głowie i jest tak dobrze...

Dokończenie na str. 18-tej

Polowanie u hr. Stadnickich



Na lewo: Hr. Stadnicki daje rogiem znak zakończenia łowów.

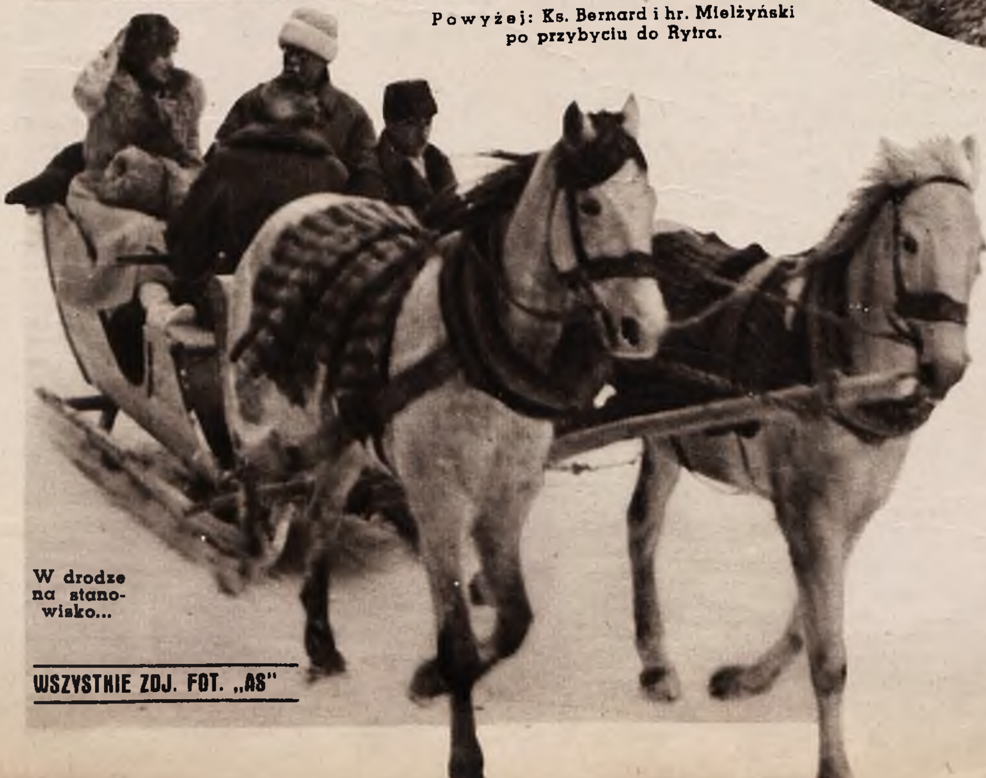
Na prawo: Hr. Stadniccy, gospodarze polowania, przy kuchni myśliwskiej.



Powyżej: Ks. Bernard i hr. Mielżyński po przybyciu do Rytra.



W kole: Książe Bernard spożywa śniadanie myśliwskie w gronie uczestników polowania.



W drodze na stanowisko...

WSZYSTKIE ZDJ. FOT. „AS"

Skoro zapytamy „etranżera" o wrażenia z Polski, usłyszymy niezawodnie słowa: bigos, barszcz, gościnność staropolska, sroga zima, niedźwiedzie! Oto co najbardziej frapuje naszych gości. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności sympatyczna książęca para holenderska zawitała do naszego kraju w chwili, kiedy zima wysrebrzyła nasze góry, przedstawiając się w tym godowym stroju wręcz wspaniale. Wśród ogólnych wrażeń, wywiezionych z Polski, nie mogło braknąć oczywiście tych, które dostarcza prawdziwe polskie polowanie. Zawołany myśliwy, hr. Stadnicki urządził w Rytrze na cześć księcia Bernarda zur Lippe polowanie na dziki,, podczas którego małżonek ks. Juljanny miał sposobność ujrzeć fragment staropolskiego życia. Wspomnienie z łowów będzie dla księcia niemniej miłe od tego, które wyniósł on z wycieczek na terenach narciarskich Krynicy i Zakopanego. M.

Godzina wspomnień
O RYSZARDZIE BOLESŁAWSKIM



Powyżej: Bolesławski (z fajką) odpoczywa w przerwie między zdjęciami w tow. słynnego aktora Wallace Beery.

Kim był w istocie i jakie było życie Ryszarda Bolesławskiego, cenionego aktora i wybitnego reżysera Teatru Polskiego w Warszawie, który kilkanaście lat temu, u wrót swej sławy, opuścił Polskę, zniknął, by wypłynąć po wielu latach niespodziewanie na stanowisku czołowego reżysera stolicy filmu — Hollywood? Jaką drogą szedł ten człowiek, o którego przedwczesnym zgonie przed kilkunastu dniami nadeszła wiadomość z drugiej półkuli świata, by ze skromnych desek polskiej sceny przejść w szeregi reżyserów, których nazwiska znane są na pięciu kontynentach?

Przewidywałem, iż odpowiedzi na te pytania mógł mi udzielić wyczerpująco tylko jeden człowiek — czołowy reżyser polskiego filmu p. Ryszard Ordyński, osobisty przyjaciel Bolesławskiego. Wspomnienia p. Ordyńskiego o Ryszardzie Bolesławskim są tak ciekawe, dają tak wyraźny skrót całego jego życia, burzliwego, niemal przypominającego epizod z jakiegoś frapującego filmu, życia prawdziwego artysty-cygana, iż postanowiłem pokusić się o powtórzenie tu całej mojej rozmowy z p. Ordyńskim.

— Oczywiście — nie mogę podjąć się — mówił p. R. Ordyński — nakreślenia całego życiorysu Bolesławskiego. Zapewne wiele szczegółów uszło mej uwagi lub byłoby nawet zbędnych. Życie moje i Bolesławskiego, którego rodowe nazwisko brzmi: Śrzednicki, nie biegło równolegle. Widywaliśmy się jedynie od czasu do czasu, co lat kilka, w różnych i, czasami, dziwnych okolicznościach. Spotykaliśmy się w różnych częściach świata — w dawnej Rosji przedwojennej, w Warszawie, Paryżu, w Stanach Zjednoczonych A. P. Może zatem najlepiej będzie jeśli opowiadanie moje ujmę w kilka zwięzłych scen, odpowiadających spotkaniom moim z Bolesławskim i w przybliżeniu odpowiadających również różnym etapom życia tego wielkiego artysty. Tak się dziwnie jakoś zawsze składało, iż ilekroć zetknąłem się z Bolesławskim, zawsze zastawałem go w innych kolejach życiowych, wplątanego w coraz to nowe dzieje, zawsze jednak pogodnego i z mocną wolą dążącego do owego najczystszego ideału jaki jest do pomyślenia w wielkiej sztuce teatru.

— Słucham uważnie. Może więc zaczniemy od Pańskiego pierwszego spotkania z Bolesławskim? — proponuję.

— Poznałem go przed wojną w Moskwie w roku 1910 po premjerze w słynnym teatrze Stanisławskiego — snuje swe wspomnienia p. Ordyński. — Była to premjera komedji Turgeniewa „Miesiąc na wsi", w której Bolesławski grał rolę młodego studenta. Pamiętam, iż grał swą rolę doskonale. Fakt, iż Bolesławski wychował się jako artysta w Teatrze Stanisławskiego, wywarł niewątpliwie poważny i decydujący wpływ na całe życie i działalność tego niezwykłego człowieka. Lata, w których Bolesławski grał u Stanisławskiego, były okresem najwyższego rozkwitu tej sceny, wydającej ludzi tak zapalonych do teatru, iż życie ich zaczynało się i kończyło na scenie. Młody Bolesławski był jednym z najwierniejszych synów owej epoki wielkich przemian artystycznych teatru, i nie ulega to dla mnie wątpliwości, iż przez całe życie szedł za przykazaniami artysty i reżysera, które mu podyktowała ta szkoła.

— Dziesięć lat później: Warszawa! Bolesławski opuszcza szeregi armji polskiej, w której walczył przeciwko bolszewikom i wstępuje na deski Teatru Polskiego, zrazu jako aktor, później jako reżyser. Spotykaliśmy się wówczas bardzo często. Podziwiałem zawsze jego pracowitość, jego niezaprzeczalny talent. Odrazu stał się ulubieńcem kolegów. Jako reżyser pracował z pasją i z równym zapałem zabierał się do sztuk klasycznych jak i nowoczesnych. Pamiętam z tego okresu jego znakomitą inscenizację „Miłosierdzia" Rostworowskiego.

— Dla jakich powodów Bolesławski opuścił wówczas — i to na zawsze kraj? — przerywam na chwilę p. Ordyńskiemu.

— Trudno o tem dziś mówić. Były różne powody. Może nie doceniano wówczas talentu Bolesławskiego, może zrażono go do pracy. Poza tem jednak nurtował go zawsze ów tradycyjny niepokój, tęsknota za wędrówką, tak właściwa artystom-cyganom, tym cyganom w najlepszem pojęciu. Wyjechał do Paryża, gdzie zaangażował się jako aktor do pewnej trupy rosyjskiej aktorów-emigrantów. Wiem, iż nie czuł się tam szczęśliwy, nawet ról nie miał takich, które mogłyby zadowolić jego dążenia. Domyślam się, iż w tym okresie życia, pewien wpływ na koleje Bolesławskiego wywarła... no oczywiście miłość! Widziałem go w tym okresie w Paryżu, poczem na kilka lat straciłem zupełnie z nim kontakt.

— Trzy lata później, w roku 1923 — ciągnie dalej opowiadanie p. Ordyński nastąpiło pewne niecodzienne zdarzenie.

— Bawiłem wówczas na Long Island pod Nowym Jorkiem, gdzie po powrocie z Holywood, w olbrzymiem atelier filmowem, nakręcałem film dla wytwórni „Paramount". Pewnego dnia, przechodząc obok grupy bez-

Dokończenie na str. 18.



Na prawo: Ryszard Bolesławski (w białej koszuli) kontroluje ekspresję gry Charlesa Boyera w czasie zdjęć do filmu „Ogród Allaha".



OSTATNI błazen królewski



Józef Borusławski, karzeł króla Stanisława I. według współczesnego portretu z Nancy.

Wśród nielicznych rozrywek istniejących dla możnych ludzi w średniowieczu, wybitną rolę grali trefnisie, zwani też błaznami. Zwyczaj trzymania błaznów na królewskich dworach, sięga podobno wojen krzyżowych, pewnem jednak jest, że niektórzy z nich zyskali sobie nietylko swą mądrością, jasnym sądem i przenikliwością umysłu trwałą pamięć, ale stali się też nieodłącznymi towarzyszami swych panów. Najbardziej z nich znany — Stańczyk — doczekał się w Polsce nieśmiertelności, dzięki pędzlowi Matejki, inni, mniej sławni, jak Bieniasz, nadworny błazen Hieronima Szydłowieckiego, kanclerza w. k. lub Jan Dzwonkowski, za Zygmunta III, również nieposlednią grali naówczas rolę w życiu dworskiem. Dzwonkowski wsławił się tem, że był bodaj jedynym błaznem.... piszącym! Pozostawił po sobie „Statut", obejmujący przepisy dla wesołków jak mają rozweselać swych panów. Nieraz nie była to rzecz łatwa! Błaznowie, karły, trefnisie byli też ulubieńcami dworów niemieckich. Dosyć wspomnieć słynnego błazna Maksymiljana I. Kunz von der Rosen, Perkeo, błazna palatyna Karola Filipa, Wieganda von Theben na dworze Ottona Wesołego, księcia Styrji, a również innych, aby mieć pojęcie, jak ta dziwna „instytucja" była w przeszłości popularną. Zresztą nie można się temu dziwić: błazen był jedyną osobą, której wolno było mówić księciu prawdę, to też zastępował on naówczas opinję publiczną! Berło błazeńskie z dzwoneczkami, oryginalny strój, kapiszon z uszami oślemi, oto emblematy wesołków.

Na równi z błaznami cieszyły się sympatją monarchów przeszłości również inne, niemniej oryginalne stworzenia. Były to karły i karliczki, których portety, nieraz świetnych mistrzów, choćby Velasqueza, zachowały się dotychczas. Jak wiadomo, ludzie średniowiecza czy renesansu, baroku czy rococa nader wrażliwi byli na wszelkie dziwy natury, to też chętnie „kolekcjonowali" tego rodzaju anomalje. Nieraz dwory współzawodniczyły ze sobą pod tym względem, płacąc duże sumy za ciekawe „okazy". Dopiero w wieku XVIII i to na jego schyłku moda ta stawała się coraz rzadszą.

Bezwątpienia ostatnim błaznem królewskim, będącym równocześnie karłem był Józef Borusławski, urodzony w okolicy Halicza w r. 1739 z rodziny ubogiej szlachty. Inny karzeł Polak, Krasowski, z Podlasia był ulubieńcem dworu Katarzy de'Medicis. Wychowany najprzód przez hr. Tarnowską w Rychlach na Podolu, Borusławski, przezywany „Joujou", jedzie następnie z swą opiekunką p. Humiecką do Wiednia, gdzie dostępuje zaszczytu „spoczywania" na kolanach Marji Teresy! Następnie sprowadzony został na dwór króla-wygnańca, Stanisława Leszczyńskiego, do Lunéville'u, gdzie miał odtąd pozostać. Biedny karzełek, którego wysokość nie przekraczała 33 cali, znalazł na dworze współzawodnika, w postaci Francuza z Wogezów, Mikołaja Ferry, zwanego „Bébé". O ile Borusławski był dobrze zbudowany, bardzo inteligentny, miły w obejściu, o tyle „Bébé" miał wszelkie cechy karłów, łącznie z złośliwością, oraz stygmatami starości w twarzy. Dwór Stanisława Leszczyńskiego podzielił się na dwie partje, jedną popierającą Borusławskiego, drugą, z panią de Talmont, kuzynkę króla na czele, Ferry'ego. Gdy jeden z dworzan króla, hr. De Tressan zakomunikował Akademji Umiejętności w Paryżu opis osoby karła Ferry, nie szczędząc mu złośliwych epitetów, pani de Talmont poczęła prowadzić upartą kampanję przeciwko Borusławskiemu, chcąc w ten sposób zohydzić pupila hrabiego. — W każdym razie w tych dobrych, dawnych czasach kwestja cnót i wad obu karłów emocjonowała najwyżej nawet postawione osobistości.

Liczne listy i dokumenty odnoszące się do życia dworu lunévillskiego wspominają nieraz o Borusławsk'm. Był on bardzo zgrabny, umiał pięknie tańczyć i nieraz produkował się na stole podczas większych biesiad, a umysł jego, wykształcenie i dar szybkiej i dowcipnej odpowiedzi, zadziwiały współczesnych. Podobnych sztuk choreograficznych dokonywały dwa inne karły, jak o tem wspomina Franciszka Krasińska, późniejsza królewiczowa polska, opisując życie w zamku maleszowskim. Koniec Ferry'ego był równie smutny, jak jego postać. Zmarł on zapomniany i zgrzybiały przedwcześnie, gdy tymczasem Borusławski, wypędzony zresztą przez p. Humiecką za jakąś miłosną intrygę, żeni się, dochowuje się dzieci i umiera w r. 1837. Po opuszczeniu Lotaryngji staje się on może jeszcze bardziej znanym, niż przedtem: król Jerzy IV angielski interesuje się jego osobą, spisuje on swe pamiętniki, które ukazują się w kilku językach, ostatni raz w Londynie w r. 1820 i zamieszkawszy w Durham, w Anglji, cieszy się owocami swego dziwnego żywota. Drobne zwłoki karła spoczywają w katedrze w Durham. Oto dziwne losy ostatniego błazna królewskiego.

Jan Maleszewski.

Poniżej: Scena z dworu królewskiego z XVI w. Na pierwszym planie królewski trefniś z pieskiem. Z kroniki Szydłowieckich „Liber Geneseos".



Jak ludzie patrzą na świat?



Droga życia listonosza biegnie po tysiącach schodów, na które musi on codziennie patrzeć...



Powyżej: Narciarz pragnie widzieć wszystko wokoło siebie zasypane grubą warstwą śniegu...

Na prawo: Muzykowi, grającemu w teatrze rewjowym, przysłaniają świat nogi tancerek...



Na prawo: Kościelny, widząc nadjeżdżający tramwaj i słysząc jego dzwonek, powraca myślą do swych ulubionych dzwonów, w których cieniu spędza niemal cały dzień...





Na lewo: Malarz przyozdabia na papierze postać skromnej modelki w piękną i bogatą szatę...





Powyżej od lewej: Sprytny reporter upatruje w każdej katastrofie wielką sensację dla swego dziennika... — Dla motorniczego tramwaju świat zamknął się w ramach szyn, które widzi on przez cały dzień przed sobą...

Różni ludzie — różnie patrzą na świat. U jednych pole widzenia ogranicza się do skromnych ram, które wyznaczyło im życie — u drugich znów polot i fantazja przyoblekają szarzyznę codziennych obrazów w bogate ramy, a niejednokrotnie zmieniają nawet barwy i wysubtelniają kształty...

Świat jest piękny! — te słowa wypowie niejeden z nas z chwilowem, głębokiem przekonaniem. Ale w danym momencie na jednego oddziaływać będzie tylko piękno przyrody — na drugiego znów wielka wygrana, która otwiera wszystkie drzwi na świat — na trzeciego wkońcu miłość — ów najskuteczniejszy narkotyk we wszelkich przeciwnościach życia...

Tym jednak razem chodzi nam o zastęp ludzi, których złączył zawód nierozerwalnym węzłem z serja powtarzających się codziennie obrazów. Niektóre z nich znajdziemy na zamieszczonych powyżej zdjęciach.

el.

Na prawo: Świat dobrej gospodyni — to jej gospodarstwo, a więc rankiem targ, na który patrzy ona przez okulary oszczędności...



Dokończenie ze str. 12.

A oczy myszkują wciąż w białej przestrzeni i rozleniwionej myśli meldują każdy dostrzeżony ruch.

Oto znowu powrócił zając grzbietem wałku, zatrzymał się naprzeciw mnie, pogrzebał w śniegu, stanął słupka i ruszył wdół, ku wodzie. Teraz przeskoczył rzeczkę i wspina się do góry, ku mnie. Palce zaciskają się na szyjce strzelby... takby się chętnie strzeliło — byłby to może najpewniejszy rezultat — ale przezwyciężam się i tylko patrzę, jak zając, kicając wolniutko, podchodzi ku mnie, w odległości kilku kroków skręca i wzdłuż żywopłotu kica sobie coraz dalej, aż niknie z oczu.

Wzruszenie, tamujące oddech, zmienia się w żal, że nie wyzyskało się sposobności. Byłby chociaż zając, a tak — może nic nie będzie...

Ogarnia mnie zniechęcenie, marzy się ciepły pokój, łóżko, teraz dopiero zaczynam odczuwać mróz; musi być z dziesięć stopni....

Poprawiłem się na krzesełku, ręce głęboko wciągnąłem w rękawy, zrobiło mi się cieplej, a oczy zaczęły się kleić...

Naraz poza żywopłotem, o kilka kroków ode mnie, przesunął się jakiś długi cień, dążąc w stronę przejścia, przy którym siedziałem.

Jeden gwałtowny, ale cichy ruch — i strzelbę, gotową do strzału, ściskam w ręce, a równocześnie lis stanął o dwa kroki, zwinął się, ujrzawszy mnie i zsunął się ku wodzie.

Nie mierząc prawie, strzeliłem... pudło!

Lis w kilku susach wydostał się na przeciwległy wałek i już miał zniknąć za nim, gdy dosięgnął go drugi strzał i rzucił nim o ziemię.

Nieprzytomny ze szczęścia, dopadłem do niego i chwilę gładziłem miękkie, lśniące futerko, potem otworzyłem strzelbę i przytknąwszy do ust końce luf, głośnem trąbieniem ogłosiłem nocy moje zwycięstwo.

— — — — — — — — — —

Strzały zwabiły starego Jana; czekał na mnie w alei lipowej i gdy naszedłem, niosąc z trudem moją zdobycz, mina mu zrzedła. Siląc się na okazanie radości, wziął lisa i poniósł za mną, oglądając go z zazdrością i lubieżnym zachwytem.

Po chwili stanąłem przed ojcem. Nadeszła upragniona chwila...

Ojciec kazał mi uklęknąć i nabrawszy na palec trochę krwi, sączącej się z rany ubitego lisa, pomazał mi nią czoło, policzki i brodę, pasując mię na myśliwego.

Duma moja nie miała granic. Obecni przytem domownicy dzielili moją radość, nawet stary Jan rozpogodził oblicze i uśmiechał się do mnie porozumiewawczo: uważał, że w tem dziele i on ponosi część zasługi.

I ja tak sądzę...

Dokończenie ze str. 14.

robotnych statystów, oczekujących na swój wybór, spostrzegłem wśród nich... Bolesławskiego! Nie wierzyłem swym oczom. On, świetny aktor, reżyser, tu wśród statystów oczekuje na kiepski zarobek kilku dolarów! Istotnie był to on zmuszony do zarabiania w ten sposób na chleb po rozleceniu się trupy rosyjskiej, z którą przyjechał z Paryża. Bolesławski musiał swe życie budować na nowo. Wyjechałem wkrótce do kraju i gdy w roku 1926, to jest w trzy lata później, przybyłem znów do Ameryki zastałem Bolesławskiego już jako tako „wydźwigniętego". Miał już swoje własne mieszkanko i ciekawą robotę. Zgrupował wokół siebie nieco inteligentnej młodzieży, marzącej o nowym teatrze i pouczył ich o tym nowym teatrze w plastycznych i obrazowych wykładach. Z tą swoją grupką dał nawet kilka przedstawień w duchu idei swoich wykładów. Szkołą tą i przedstawieniami zaczynał zdobywać w Nowym Jorku popularność. „Odkryto" w nim wielkie zdolności reżyserskie i organizacyjne. Narazie szło mu jednak bardzo ciężko pod względem finansowym i dopiero po kilku latach żmudnej i twardej pracy dorobił się na tyle, iż mógł zakupić pod Nowym Jorkiem własną farmę, do której wprowadził swą ukochaną żonę, amerykankę, Normę. W tym czasie Bolesławski reżyseruje operetkę, która szła z olbrzymim sukcesem w jednym z największych teatrów na Broadwayu, a wreszcie w swej wiejskiej ciszy chwyta za pióro i pisze swą głośną książkę pod tytułem „The Way of the Lancer", co można przetłumaczyć po polsku na „Polscy ułani". Książka ta, będąca wspomnieniami z udziału jego w wojnie bolszewickiej, stała się wkrótce jedną z najpopularniejszych w Ameryce i doczekała się wielu wydań. — Z tych właśnie czasów datuje się moje ostatnie spotkanie z Bolesławskim. Zdawałoby się, iż człowiek ten, mając zapewniony byt, i ciszę wiejskiego ogniska domowego, popularność autora i reżysera, zamknie na tem swe dążenia życiowe. Jednakże ciągnęło go coś dalej. Tego ostatniego okresu życia Bolesławskiego niestety osobiście nie oglądałem.

— Ma pan na myśli okres pracy Bolesławskiego, jako czołowego reżysera w Hollywood?

— Tak jest. Ostatnie lata życia Bolesławskiego, to pasmo triumfów w owej Mecce kinematograficznej, Hollywood. Bawił tam kilka lat i wyreżyserował kilka głośnych na cały świat obrazów, jak „Ludzie w bieli", „Szpieg Nr. 13", „Metropolitan", „Nędznicy" i wreszcie wielki film kolorowy „United Artists" pod tytułem „Ogród Allaha" z Marleną Dietrich, Karolem Boyer i Józefem Schildkrautem.

— Niestety — kończy opowiadanie pan R. Ordyński — Bolesławski nie doczekał się ziszczenia jednego swego marzenia, a mianowicie zrobienia polskiego filmu. W listach, jakie ostatnio otrzymywaliśmy od Bolesławskiego ja i inni jego przyjaciele w Polsce, nieraz podkreślał, iż jest to zawsze jego gorącem pragnieniem. Kto wie, czy gdyby przedwczesny zgon nie przerwał jego życia, Bolesławski nie dopiąłby swych zamierzeń i w tym kierunku. Przez śmierć Bolesławskiego traci polska sztuka, a zwłaszcza sztuka filmowa wielkiego człowieka, który chciał i mógł odegrać w tej dziedzinie olbrzymią rolę.

Romit.

Z CYKLU: SIEDZIBY POLSKICH RODZIN

HORODZIEC

GRÓD NA RUBIEŻY

Nie ma zapewne cała tej ziemi, któryby nie był przesiąknięty wspominkami lat dawnych, tradycją rycerską, nie był przesiąknięty krwią tych, którzy o ziemię tą walczyli. Od miasteczka Głębokiego, które wśród jezior Wileńszczyzny się przytuliło, jak biały klejnot północnego baroku, wznosząc się włoską strukturą architektury swych kościołów, w szare, zimne niebo daleko na północ, ku rzece Dźwinie i Dziśnie ciągnie się trakt brzozami szeroko sadzony. Szły przez ten trakt i od białego miasteczka tego zbrojne hufce dragonji królewskiej srebrem pobrzękujące, zastępy husarji, które Podbipiętowie własnym sumptem Rzplitej stawiali, szły tędy zagony Tatarów i Kozaków, czernie Zołtarenkowe. A potem, gdy brzozy jak białe panny u traktu warkocze swoje na słońcu rozpuściły, w złotym pyle kurzawy i drogi, płynęły tędy ludy europejskie pod sztandarami z cyfrą N. na podbój bizantyńskiej Moskwy. Jak w wielkim leju właśnie w tej okolicy, zbiegają się wszystkie drogi, któremi kroczyła historja, by upamiętnić się w krzyżach kamiennych, ciosanych na mogiłach pancernych towarzyszy pod Dokszycami, by słynąć grobami rycerstwa w berezweckim kościele, by upamiętnić się każdą wyniosłością terenu, każdą sadybą ludzką dawnym zapomnianym grodziszczem. Do Horodźca, który nazwę swoją od grodu warownego wywodzi, płynie właśnie trakt brzozami sadzony. Sadyba dawna rycerska od wieków będąca w posiadaniu Platerów, stanowiąca dzisiaj dziedzictwo Jana hr. Platera Zyberga, jest jak gdyby punktem wieńczącym wszystkie drogi, które opływały wielkie flukta historyczne. Pierwotnie zamek warowny Lwa Sapiehy, którego góra po dziś dzień pozostaje, utulił Horodziec opodal zamczyska małe miasteczko Łużki, które wyrosło dzięki zamkowi i które dzisiaj w 90% egzystencję swoją opiera właśnie na wielkiej posesji, z której przemysłu żyje. Nad małą rzeką, która wypływa ze źródeł cieknących od tundry północy Wileńszczyzny i która tak bardzo charakterystyczna dla wszystkich puszczańskich rzek, wije się skrętną serpentyną, rozsiadła się ongiś ta wielka rezydencja, która dzisiaj jak Feniks z popiołów zniszczenia do życia powraca. Platerowie, władający Horodźcem, zrozumieli już nawet przed wielką wojną ważkość uprzemysłowienia większych ziemskich własności, to też na wiele lat przed unowocześnieniem się majątków na kresach, Horodziec stanowił prawdziwy wzór nowocześnie gospodarowanego kompleksu ziemskiego, skupiając obok rezydencji dużo budynków gorzelniczych i przemysłowych, wielkich zabudowań hodowlanych dla koni rasowych i bydła. Sam pałac nie był tylko rezydencją reprezentacyjną starego rodu, ale stał się i wielkiem centrum kulturalnem ziem, gromadząc w murach swoich bezcenne pamiątki artystyczne i historyczne.



Powyżej: Rzeka Mniuta płynie obok zamku sapieżyńskiego i obecnej rezydencji hr. Platerów.



Na lewo: „Diometer" as stadniny horodzieckiej

Wszystkie zdjęcia: Fot. Feliks Dangel Wilno.



Poniżej: Młyny wodne w Horodźcu.

Rzecz oczywista, że wielkie centrum rozporządzające ogromnym kompleksem lasów, ciągnące się trójkątem od rzeki Dzisny aż po samą rezydencję, majątek rozporządzający najlepiej zagospodarowaną ziemią i ogromną stadniną, był podstawą egzystencji 60% ludności całego powiatu, która w warsztatach rolnych majątku odnajdywała tak zawsze dla rolnika niezbędny gotowy grosz.

Horodziec, stanowiący sobą i w czasach wielkiej wojny centralny węzeł strategiczny, musiał się stać centrum zainteresowania sztabów genralnych, walczących armij rosyjskiej i niemieckiej, co tak rezydencji, jak i wielkiemu warsztatowi rolnemu nie wyszło na dobre.

Moskale „dla celów strategicznych" porżnęli rasowe bydło w oborach, zarekwirowali wszystkie konie, na domiar zniszczenia pałac majątek, jak gdyby pożoga bezcennych płócien mistrzów flamandzkich miała uratować honor załamującemu się już podówczas autorytetowi carskiej armji. Niemcy, których forpoczty nie potrafiły już ugasić płonących bogactw, zastali już taką ruinę, jaką kiedyś przed stu laty, pozostawił Rostopczyn przed wkraczającymi szwoleżerami Napoleona do Moskwy. Upadek i zniszczenie tak wielkiego mechanizmu, jakim był Horodziec, skazywał na długie lata bezczynności tych wszystkich, którzy z Platerowskiej posesji utrzymywali

swe rodziny. O restauracji majątku w czasach niepewnych i przejściowych mowy być nie mogło, gdyż po dziś dzień istniejące, a rozsiane po całym obszarze majątku mogiły, świadczą o tem, że i w latach ostatnich zmagań Polski z dziczą wschodnią Horodziec był terenem walk.

Dziwna koleina losu wytknęła granice Rzeczypospolitej, tak jak ongiś opodal starego zamczyska hetmana Sapiehy. I tak jak przed wiekami wielkie wzgórze sapieżyńskie jest kopcem granicznym dwóch światów. Opodal góry zamkowej dzisiaj zakwitło ponownie gospodarstwo. Odremontowane budynki gospodarcze zaludniają się istotami, powstają wielkie młyny wodne i mechaniczne, a wybudowana w Stanisławowskim stylu, jak kolumnadowy pałacyk, cudem ocalała gorzelnia, tętni nieustającym warkotem swych maszyn.



„Pułkownik" i „Omega" dwa araby w zaprzęgu przed tymczasową rezydencją hr. Platerów.

Wielką pracą i wyzbyciem się potrzeb osobistych młody dziedzic tych ziem Jan Plater postanowił postawić gospodarkę majątku na tym poziomie lecz w skali zmniejszonej), na jakim był Horodziec przed latami pożogi. Ożeniony z Różą, księżniczką Czetwertyńską, sam pełen energji życiowej i dysponujący tym kapitałem inicjatywy, którym rozporządza młodość, zakasał rękawy i sam pierwszy stanął do pracy. „Pańskie oko konia tuczy", to też w niedługim czasie konie horodzieckie stały się podstawą remontów dla armji z całego powiatu, soczyste łąki horodzieckie ożywiły się plamami jaskrawemi bydła i coraz to więcej rąk roboczych z niezamożnej wsi potrzeba do prac budowlanych, restauracyjnych i przemysłowych wielkiego majątku.

A lasy horodzieckie?

Im by należało poświęcić rozdział specjalny. Puszcza nieprzenikniona, poważana w swej krasie puszcza północy, o tajemniczym sercu, ogromnej tundry jaką jest... Żada. Puszcza zamieszkana przez rysia, tygrysa północy, wilka, ubarwiona na wielkich bagniskach białemi kwiatami śnieżnych piór pardwy. Puszcza drapieżców, walczących z północą o byt. W horodzieckiej puszczy na zimowych polowaniach, najwięcej w całej Rzeczypospolitej pada centkowanych lampartów rysich, a mądra gospodarka łowiecka doceniając wartość zwierzyny, pod kierunkiem niestrudzonego pana Rondomańskiego, zachowuje swój specjalny charakter, którym się poszczycić nie mogą nawet ożywione zwierzyną lasy poznańskie.

Z puszcz tych wyparła wojna i kula kłusownicza wielkich senatorów, jakiemi tam były łosie i niedźwiedzie. Ale jak wieści od osaczników puszczańskich niosą, coraz to częściej na mszarynowym gruncie daje się widzieć ślad przebiegającego łopatacza.

Da Bóg, że z ukończeniem racjonalnej gospodarki leśnej echem puszczańskiem wstrząsać kiedyś będzie radosny stęk godującego łosia.

— — — — —

Jest dla kogo w Horodźcu gospodarzyć, bo dworkowi, który dzisiaj służy za miejsce pomieszkania horodzieckich dziedziców, przybył mały dziedzic tych ziem, maleńki Wiktor. Z zaobserwowanych odruchów należy sądzić, iż odziedziczy on nietylko dobra horodzieckie, ale i energję ojcowską i że majątek kiedyś doprowadzi do rozkwitu z czasów dziadów. Pałac sam, który do niedawna spoglądał oczodołami wypalonych okien na wspaniały park horodziecki, powraca powoli do miana domu mieszkalnego i poza remontem warsztatu pracy, stanowi ważną pozycję — odbudowy Horodźca. — Jest w parku horodzieckim ponadto lamus stary — skarbczykiem zwany. Grubość murów, jakość sklepień, zda się mówić o wielowiekowej budowie tego domostwa, a nazwa „skarbczyk" potwierdzać zdaje się hipotezę, że spełniał on kiedyś właśnie rolę schówka, w którym dokumenty i zbroice i złoto chowano.

Może jest on rówieśnikiem starego zamczyska Lwa Sapiehy, i pamięta go tak dobrze, jak go pamiętają szwedzkie mogiły rajtarów, których puklerze pokruszyły się o szkarpy zamczyska.

— — — — — — —

Na dalekiej rubieży północnej Rzeczypospolitej, wznosi się nowa obronna placówka.

Kiedyś ziem tych broniły strzelnice sapieżyńskich bastjonów, dziś, gdy metody walki zmieniły się, chroni je i broni wielka placówka produktywnej pracy, która daje ziemi tej chleba, a w pracy moralne oparcie dla mas.

Feliks Dangel.









Od lewej: Romantyczny grobowiec na górze zamkowej w Horodźcu. — Zamkowy skarbiec, który pamięta ubiegłe wieki. — Fronton horodzieckiej gorzelni podczas remontu. — Obecni dziedzice Horodźca: (od prawej) Jan hr. Żyberg-Plater z małżonką hr. Różą z książąt Czertwertyńskich w tow. autora artykułu.

Poniżej: Pałac Horodziecki po zniszczeniu przez bolszewików.





RUMBA..

Fot. Compal — Walencia.

PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

Co mówić tyle o miłości...

SLOWFOX Z KOMEDJI „KAPITAN BROK"

Słowa:
A. KRAKOWIECKI

Muzyka:
A. LENCZOWSKI

Moderato.

mf — rall. — p a tempo

Kiedy cię troski życia
grzebią i kie-dy mó-wią szach lub mat,
Niech piosnka le-ci z ser-ca
w nie-bo, niech w piękny le- ci świat!
Lecz kie-dy mi-łość o-cza-
ru-je samotną tęskną duszę twą, niechaj mil-cze-nie ją o-
snu-je, al-bowiem wiedz, pa-mię-taj to:

Refren.

p-f

1). 2). Co ty-le mówić o mi-
ło - ści, zachwyty bredzić, głupstwa pleść?
O wie-le lepiej, wiele
prościej, u-czu-cie ci-cho w ser-cu nieść.
1). Bo nie-ma takich zdań mo-
carnych, i niema słów po-tężnych tak, by za-stą-pi-ły uścisk
skwarny i ust ko-cha-nych miały 1. smak!
2). Mi-łość się świata przecież
lę-ka, ukradkiem chwytaj ją i bierz. Wię-cej wart całus niż pio-
sen-ka a noc mi-ło-sna niż-li 2. wiersz!

Dwa bale

MIECZYSŁAW TOBIASZ

NOWELA

Inż. Lucjan Bukowiński, jeden z dyrektorów „ciężkiego przemysłu", wyglądał wytwornie we fraku, skrojonym bez zarzutu. Stał, obserwując z górnego balkonu rozbawione towarzystwo, falujące w takt argentyńskiego tanga.

Różnokolorowe reflektory rzucały tęczę świateł na tańczących, na piękne, pastelowe toalety pań i malowniczo kontrastującą czerń fraków —tworząc feeryczną bajkę dla oczu, jakby mieniły się pod światło rubiny, szmaragdy, szafiry. Tu i tam, na pajęczej, niedostrzegalnej nitce, fruwały barwne baloniki — a nieostrożnie puszczone, uciekały wysoko w górę.

Powietrze było parne, przesiąknięte wonią dobrych perfum, a ogromne lustra w złoconych ramach zdawały się zachodzić oparami mgły. Nad tłumem par, sunących w dyskretnym uścisku, unosił się gwar zciszonych rozmów, przez który przebijał się czasem delikatny śmiech — słychać było szmer stóp, przesuwanych po lśniącej posadzce, a nad tem wszystkiem królowały subtelne tony dwu orkiestr, grających niezmordowanie na zmianę. Z bufetu dochodził huk odkorkowywanych butelek.

Pan Lucjan poszukał wzrokiem żony, małej, zgrabnej blondynki o szaro-złotych puklach. Widział, jakby tuż przed sobą, jej oczy kobiety-dziecka. Tańczyła z „ich" dobrym znajomym, uśmiechając się od czasu do czasu, w odpowiedzi na słowa swego dansera.

W oczach pana Lucjana wyraźnie odbijała się fala serdecznego ciepła, którą słał w ślad za swą panią. Czuł się niewypowiedzianie szczęśliwym.

Ożenił się dopiero przed paru tygodniami, a małżeństwo jego z Marją było dla otoczenia raczej tylko ukoronowaniem ich długotrwałej przyjaźni. Pobrali się, jak dwoje przyjaciół, między którymi nigdy nie padło słowo „kocham".

A przecież mimo to było im razem tak niewypowiedzianie dobrze. Marja i Lucjan nie mieli w sobie nic z usposobienia ludzi, którzy pobierają się z wielkiej i gwałtownej miłości, aby już w kilka miesięcy po ślubie odczuwać równie wielką i gwałtowną nienawiść.

Na Lucjana spłynęła fala wspomnień. Poznanie Marji przed paru laty, na uniwersytecie, w rozgwarze miłego życia studenckiego, parę wspólnych spacerów, jakiś uścisk, pocałunek i na tem koniec. Była zawsze taka przytulna i cicha! Czy miała jeszcze jakieś inne, cenne dla niego wartości — nad tem nie miał czasu się zastanawiać. Potem wyjechał. Upłynęło dobrych kilka lat. Raz, będąc krótko w przejeździe, odwiedził ją i zastał taką samą, jaką była dawniej. Spotkanie ich było takie, jakby się wczoraj dopiero pożegnali. A przecież przez ten cały, długi czas, nawet nie pisali do siebie.

Teraz tylko w krótkich słowach zawiadamiał ją zawsze, że przyjeżdża i równie nagle, jak przybywał — wyjeżdżał. Znów wieczny brak czasu — znów tylko zmysły. W duchu musiał przyznać, że może niekiedy traktował ją nawet zbyt obcesowo, co ją widocznie raziło, ale ostatecznie wybaczała mu to. Dla Marji było to jednak coś innego, bardziej pociągającego, niż służalcze nadskakiwanie innych adoratorów.

Nigdy nie usiłował wejść w bieg jej myśli — wyobrażał sobie, że Marja ma ich niewiele, a ponieważ ona nie starała się wyprowadzić go z błędu — zdawało się, że przekonanie to pozostanie w nim na zawsze.

Marja należała do tych kobiet, które noszą w sobie niezniszczalną radość życia. Czuła się zawsze pączkiem, co wolniutko na wiosnę rozkwita. Miała wielu wielbicieli, mogła niejeden raz już zrobić dobrą partję, jednak zawsze odwlekała i wreszcie rozmyślała się, gdyż, kierując się własną etyką, nie chciała nikogo oszukiwać.

Lucjan przypadkowo, ku swemu wielkiemu zdumieniu odkrył, że Marja jest wybitną intelektualistką. Zaczęli się wybornie rozumieć i w takich chwilach patrzyli na siebie dziwiąc się, że tyle lat się znali — wcale się właściwie nie znając. Nieraz Marja zastanawiała się później, skąd się wzięła u nich ta symfonja dusz i umysłu?

Przytem, co najdziwniejsze, choć nie widzieli się nieraz dłuższy okres czasu, nie było między niemi mowy o zazdrości. Wiedzieli o sobie nawzajem wszystko. Marja często mówiła mu, że tylko z nim może być bezwzględnie szczerą, bez kobiecego zakłamania.

— Mój aksamitny paziu! — szeptała miękko — jesteś, jak ciemny bratek, nagrzany słońcem. Czy dziwisz się, że gdy wyjeżdżasz, tęsknię za tobą? Z tobą tylko mogę wznosić się na duchowe wyżyny. Przecież przy sobie, znaleźliśmy... siebie! A inni tylko błądzą... — kończyła.

Później — rozpamiętywał Lucjan — gdy miał ciężkie chwile w życiu, Marja ujęła go do reszty swą dobrocią. Nikt inny tak, jak ona nie umiała słuchać zwierzeń, że jest mu źle. Tylko jej mógł o tem wszystkiem opowiadać, tylko ona była dla niego zawsze wiernym przyjacielem.

Cóż dziwnego, że kiedy wreszcie szczęście uśmiechnęło się do niego i po kilku latach wytężonej pracy został niespodziewanie jednym z dyrektorów koncernu hut — również niespodziewanie zaproponował jej, aby swą długoletnią przyjaźń uwieńczyli małżeństwem.

— Możesz czuć się zawsze wolną i swobodną — oświadczył — nigdy nie będę zazdrosnym. Jak przyjaciel, będę się starał, żebyś miała miłe towarzystwo, gdybyś się przy mnie nudziła.

Lucjan pamięta do dziś, jak dziwnie wtedy popatrzyła w jego oczy. Zgodziła się.

A w ciągu tych paru miesięcy małżeństwa okazało się, że było im o wiele lepiej, niż kiedykolwiek mogli marzyć.

I dziś znowu, gdy szli razem na ten bal, zaproponował swej żonie, żeby bawili się każde dla siebie — swobodnie — znajdą się przecież nad ranem. W duchu myślał, że ucieszy ją tem. Bał się, żeby jej sobą nie znudził.

Myśli pana Lucjana przerwała dłoń kobieca, która nagle wsunęła się pod jego ramię. Odwrócił się i uprzejmie powitał Teo, znaną literatkę, kobietę bezsprzecznie piękną i elegancką — jedną z ostatnich swych wielbicielek przed ślubem.

— Czemuż to pan tak o mnie zapomina? — spytała. — Pewnie już rozmyślasz o tem, że cię żona zdradza, co? — mówię to na podstawie własnych doświadczeń! — podkreśliła Teo z gorzkim uśmiechem.

Lucjan przywitał się i roześmiał w odpowiedzi.

— Moja żona ma zbyt wiele taktu i zbyt dobry gust, wobec czego uważam, że może robić wszystko, co będzie uważała za stosowne.

Teo popatrzyła na niego ze zdumieniem. Po chwili rzekła:

— Pierwszy raz słyszę coś takiego od człowieka, który wygląda, jak zakochany, a twierdzi, że nie jest zazdrosny. A może tak tylko udaje? — Wreszcie z uśmiechem dodała: — Czy to takie nowoczesne małżeństwo? Ale cóż z tobą w takim razie? Czy masz również zapewnioną zupełną swobodę?

Lucjan, nie namyślając się wiele, odpowiedział:

— No, co do mnie — to „murowana", iście kawalerska wolność! Ale zdaje mi się, że to jest taki nasz indywidualny wyskok — bo dzisiaj ludzie są naogół nawet bardziej pierwotni w swych uczuciach i mniej się maskują, niż dawniej.

— Ależ to jest wspaniała sytuacja małżeńska! — wykrzyknęła Teo. A po chwili raptownie zapytała: — Czy mogłabym się prosić, abyś mnie odwiózł do domu?

— Owszem, z prawdziwą przyjemnością! — Lucjan jeszcze raz spojrzał z balkonu na roześmianą żonę, otoczoną rozbawionem kółkiem kilku panów.

Zszedł z Teo do garderoby — otulił ją w puszyste, ciepłe futro i za chwilę mknęli czarną limuzyną w czeluść nocy.

Podczas jazdy, Teo zaczęła skarżyć się na beznadziejną pustkę w swem życiu, na przesyt i nudę. Odkąd rozeszła się z mężem — nie mogła znaleść człowieka, któryby się jej prędzej, czy później nie znudził.

Wreszcie, patrząc na zegarek, zaproponowała:

— Jest pierwsza. Możebyś wstąpił do mnie teraz na cocktail? Zwłaszcza jeden mam świetny! Niedawno dostałam przepis na niego od przyjaciół z Paryża. Skoro jesteś taki wolny... — dodała kusząco.

Lucjan grzecznie podziękował za tak miłe zaproszenie, ale stanowczo odmówił. Teo, zawiedziona może w swych nadziejach, zamilkła i zaszyła się w kąt limuzyny. Ażeby przerwać niemiłą ciszę, Lucjan zaczął mówić, jak rozkosznie jest być wiernym, raz wreszcie nie odczuwać znudzenia i potrzeby zdrady, przywiązać się do jednej, jedynej kobiet.

— Ileż przygód trzeba mieć przedtem w życiu — kończył — żeby dojść do takiego przekonania!

Tymczasem auto zajechało przed willę Teo. Pożegnała go niezwykle zimno.

Za chwilę Lucjan wracał sam. Gdy wszedł z powrotem na salę balową, zobaczył, że Marja z zapałem opowiadała coś swej przyjaciółce, przechadzając się z nią pod rękę w czasie krótkiego antraktu. Z twarzy i ócz jej biło jakieś promienne szczęście...

— — — — — —

Marja i Lucjan znaleźli się w kilkanaście dni potem na drugim zkolei balu w tym karnawale. Siedzieli w zacisznej winiarni, urządzonej w jednej z górnych sal, zdala od hałaśliwego bufetu i pełnej rozgwaru sali tanecznej, zajmując jedną z czterech, małych i pełnych zieleni, altanek. Przyćmione światło bajecznie kolorowych lampionów i wspaniała, sentymentalna orkiestra cygańska, dopełniały nastroju. Niewielkie towarzystwo, mogące sobie pozwolić na luksusowe wina i wysokie napiwki dla orkiestry, bawiło się tu z iście szampańskim humorem. Naprzemian tańczono i wysuszano zawartość omszałych butelek, włożonych do kubłów z lodem.

Lucjan i Marja siedzieli dziś sami. On był zrozpaczony! Marja widocznie unikała towarzystwa. Wszystkim panom, proszącym ją do tańca, odmawiała. Gdy zatańczył z nią Lucjan, przytuliła się do niego z radością — ale widząc jego zatroskaną twarz, znowu posmutniała.

Lucjan nie mógł zrozumieć, co się jej stało. Mieli spotkać się dopiero rano, tak, jak na poprzednim balu, a ona już po kilku minutach wróciła wprost do niego i siedziała tylko i wyłącznie z nim.

Zdawało mu się, że się z nim nudzi. Ale, gdy towarzystwo najwidoczniej także ją nudziło — nie wiedział już, co uczynić, byleby tylko było jej dziś dobrze i wesoło.

Wreszcie, zauważywszy, że Marja ciągle nerwowo spogląda na zegarek, przekonany, że umówiła się z kimś, a on sam tylko jej przeszkadza — długo i ostrożnie kołował, aby się czegoś na ten temat od niej dowiedzieć. Ale usiłowania jego w tym kierunku szły na marne. Pełen najlepszych intencyj, by sprawić żonie przyjemność i uwolnić ją od niewygodnej, jak mu się zdawało, sytuacji — zdecydował się postawić kwestję jasno.

— Może masz jakieś rendez-vous? — zapytał. — Jeśli tak, to zupełnie niepotrzebnie się mną krępujesz. Wiesz dobrze, że między nami niema miejsca na jakiekolwiek nieporozumienia na tem tle. Bardzo chętnie odwiozę cię, gdzie pragniesz.

Marja popatrzyła z wyrzutem w jego kochane oczy. Ale nie wiedziała, jak mu powiedzieć, że nie o to przecież chodzi — wprost przeciwnie — że ona nie chce przecież z nikim isę dziś bawić, tylko właśnie z nim. A on, przesadzając w tej roli męża-przyjaciela, nie rozumie jej serdecznych pragnień i nie docenia siebie.

— Gdybyś mi bronił — pomyślała — może wtedy chciałabym się bawić ze wszystkiemi, tylko nie z tobą! Takie już jesteśmy my kobiety! Rzecz dozwolona zawsze traci swój urok. Zresztą teraz mam jego, pocóż miałabym szukać innych wrażeń? Zbyt dobrze oceniam obecny stan, znając życie — rozumowała dalej. Przez chwilę miała obawy, że to jest pretekst z jego strony, aby się tylko jej pozbyć, ale trafnie odczuła, że tak nie było.

Lucjan, w dalszym ciągu sądząc, że czyta w jej myślach i fałszywie tłumacząc sobie jej krótkie milczenie, był teraz przekonany, że Marja tylko się poświęca dla jego spokoju i trwał uporczywie przy tem, że ją odwiezie, gdzie ona mu każe. Marja zgniewała się, popatrzyła na niego wzrokiem, w którym wyraźnie można było wyczytać przykrą ironję — w końcu wpadła na chwilę do rozmównicy telefonicznej.

— Dobrze — myślała. — Chcesz tego? Poczekaj!

Lucjan poczuł się nieswojo. Pomimo wszystko nie oczekiwał takiej decyzji żony, w jednej chwili poczuł żal, może nawet i nie do niej, może tylko do siebie i swej niezręczności.

Za chwilę wyszła z kabiny telefonicznej, z miną osoby, zupełnie ze siebie zadowolonej. Wyszli więc, udali się windą na dół, włożyli futra i za parę minut mknęli autem, które trochę rzucało po gołoledzi. Drobne płatki śniegu, przelatując, zaglądały przez szyby limuzyny, jakby ciekawe były rozmowy tych dwojga. Marja teraz swobodnie i lekko opowiadała o jednej z niedawno poznanych pań, z pod oka nieznacznie śledząc wyraz twarzy męża.

Auto stanęło — pożegnali się. — Lucjan się nawet uśmiechnął. — Marja musnęła go ustami — i wkrótce zawarła się za nią z trzaskiem nieznana brama.

Smutny i niezadowolony ze świata i praw życiem kierujących, wrócił do domu. Siadł w wygodnym „klubie" — puścił w ruch aparat radjowy. Po chwili przytłaczającą go, ciszę pokoju zalały dźwięki starego nieco wprawdzie, ale jakże dziś aktualnego właśnie tanga: „...może znajdziesz innego... z lepszem sercem od mego... proszę spróbój... jak mam czas, ja poczekam...".

Ironja tych dalekich słów bolała go teraz, drażniła niewypowiedzianie. Z całej duszy pragnął zobaczyć Marję, przekonać się, że wszystko, co przeżywał dzisiejszego wieczoru, było tylko koszmarnym snem. Czuł się taki samotny!

— Pomimo wszystko — pomimo wspólnoty dusz — pomimo całego zżycia się z kimś — człowiek jest właściwie zawsze sam i sam pozostanie — myślał tępo.

Dokuczliwa gorycz nieustępliwie wdzierała się do jego myśli. Starał się uciec od obrazów, jakie nasuwała mu zazdrość, nieśmiało jeszcze podająca swój wstrętny, trujący jad. Radjo było zbyt hałaśliwe, książka zbyt nudna. Nie było wyrozumiałego przyjaciela, ani kojącej niepokój i ból ręki kobiecej. W bezradności swej i detarminacji, zrozumiał, jak bardzo dzisiaj kochał Marję! W tej chwili przestała być dla niego jedynie przyjaciółką, czy towarzyszką życia, mniej lub więcej obojętną, stała się najcenniejszym skarbem, jaki znalazł w życiu. Myśl, że mógłby ją utracić teraz właśnie, przeraziła go.

Ale organizm, wyczerpany przeżyciami tej dziwnej nocy karnawałowej, upomniał się o swoje prawa. Lucjan nie zdążył dostrzec granicy między rzeczywistością, a ogarniającym go snem.

Gdy Marja wróciła rano, znalazła go w tej samej pozycji, siedzącego w fotelu i opartego na łokciach, z głową smętnie zwieszoną na piersi. Spał. Przystanęła, uśmiechnęła się, pocałowała go delikatnie w czoło i odeszła do swego pokoju.

Jeszcze tego samego dnia, wczesnym wieczorem, prosiła Lucjana, żeby pojechał z nią na spacer. Nie miał zbyt wielkiej ochoty, przykra myśl, jak cierń, tkwiła w obolałej głowie. Ale nie chcąc się zdradzić ze swym bólem, nie chcąc wypaść z wybranej przez siebie samego roli, pojechał. Jakież było jego zdziwienie, gdy spostrzegł, że auto stanęło przed tym samym domem, do którego odwiózł ją dziś w nocy.

Nic nie rozumiał! Marja wzięła go pod rękę i z filuternym uśmiechem kazała mu iść za sobą. Stanęli przed czyjemś mieszkaniem i gdy zadzwonili, natychmiast prawie otworzyła im drzwi Joanna, przyjaciółka Marji.

Marja promieniała, wymieniając z Joanną porozumiewawcze spojrzenia. Lucjan odetchnął, jakby go ktoś uwolnił od niewidzialnego, ołowianego ciężaru — i patrząc z nieukrywaną już miłością na żonę, rzekł:

— Nie wiedziałem, że pani tu mieszka, Joanno!

Gdy znaleźli się w salonie, dyskretna Joanna wyszła na chwilę. Wtedy Lucjan porwał w objęcia żonę i złączył ich długi pocałunek, w którym powiedzieli sobie wszystko. Słowa były niepotrzebne, teraz czuli, że łączy ich prawdziwa miłość, którą dawniej nieopatrznie nazywali tylko przyjaźnią.

— Daj spokój, Joanna idzie! — mitygowała męża Marja.

Kącik dobrej gospodyni.

WARTO WIEDZIEĆ, ŻE...

WOALKI ODŚWIEŻA SIĘ przez szybkie zwilżenie ich wodą i rozciągnięcie wilgotnych na tafli szklanej lub lustrzanej. Dadzą się wyciągnąć najdokładniej do swego pierwotnego kształtu, a po wyschnięciu są sztywne i błyszczące od tej strony, która przylegała do szkła. Szkło czy lustro trzeba potem umyć, bo jest pomazane klejem, usztywniającym woalkę.

ZAPACH LEKARSTW W POKOJU CHOREGO ZGINIE, gdy się postawi na chwilę naczynie z gotującą wodą, wlewając doń trochę octu. Para octu czyści powietrze.

ODÓR KLEJU W ŚWIEŻO TAPETOWANYM POKOJU usuwa się przy pomocy żarzących węgli, na które sypie się igliwie świerkowe lub jodłowe.

ABY MASŁO NIE PRZYPALAŁO SIĘ NA PATELNI, trzeba na niej wpierw przysmażyć trochę soli.

DO PRANIA WEŁNY, gdy doda się do rozpuszczonego mydła trochę amonjaku (łyżkę na litr wody) to lepiej puszcza wszelki brud. Prać w chłodnej wodzie, nie trąc, lecz wyciskając materję w wodzie, pozostawiwszy najpierw chwilę spokojnie, aby amonjak rozpuścił brud.

PO DESYNFEKCJI MIESZKANIA poustawiać miski z wodą salmiakową, a przykre pozostałości desynfekcji ustąpią.

DYM Z PAPIEROSÓW I CYGAR CHŁONIE ZIMNA WODA. Gdy poustawiamy kilka naczyń z zimną wodą w pokoju, gdzie dużo palono tytoniu, dym dla wielu osób przykry szybko zginie. Można też wieszać gąbki zwilżone w wodzie.

PRZYKRE ZAPACHY SPIŻARNI LUB SZAFY Z PROWJANTAMI usuwamy szybko, stawiając tam codzień rynke z gorącem mlekiem, aż do skutku.

ABY KAPUSTA NIE PACHNIAŁA W CAŁYM DOMU, gdy się ją gotuje, trzeba włożyć do garnka, w którym się gotuje, woreczek z chlebem, który zawiązany gotujemy razem. Smaku nie psuje, a pochłania zupełnie zapach kapusty.

RĘCE PO KRAJANIU CEBULI przetrzeć musztardą i opłókać zimną wodą, a nie pozostanie żaden przykry zapach.

MIEDZIANYCH PRZEDMIOTÓW NIE MYĆ WODĄ, lecz nacierać liśćmi szczawiu, poczem przetrzeć do sucha szmatką.

SREBRNE ŁYŻECZKI ZCZERNIAŁE OD JAJ przetrzeć najlepiej szczawiem j. w.

JEŻELI PRZYPALI SIĘ COŚ SILNIE W GARNKU, nie trzeba go zdrapywać nożem itp., lecz zalać wodą gorącą, do której dodaje się dobrą garść soli. Po dwóch dniach wszystko z łatwością odejdzie.

GDY SKIPI COŚ NA BLACHĘ, POWODUJĄC PRZYKRY ZAPACH W KUCHNI, trzeba blachę polewać wodą z sodą a odór zniknie.

NA FIRMAMENCIE POLSKIEGO FILMU

JADWIGA KENDA

Z tajemniczych głębin atelier filmowych, mimo pozornej niedostępności, docierają do nas przeróżne nowiny w dziwnie szybki sposób, zwłaszcza, gdy chodzi o jakieś zdarzenie niecodzienne, o nowe odkrycie czy dalszą zdobycz polskiego filmu, który zwolna wyzwala się spod określenia „kopciuszka"

Specjalnie frapującymi dla nas — rzesz widzów kinowych — są tak zwane „odkrycia" nowych gwiazd. W większości wypadków krajowe wytwórnie filmowe poszukują dla siebie owych gwiazd wśród aktorów scenicznych. Nieraz zastanawiano się, dlaczego tak się dzieje: czy istotnie droga do filmu wiedzie wyłącznie przez scenę? Wszakże przykłady z innych krajów bynajmniej tego nie potwierdzają. Ostatnio coraz częściej zdarzają się jednak wypadki, że polskie wytwórnie filmowe sięgają w poszukiwaniu nowych gwiazd ekranu już i poza scenę? Klasycznym przykładem może tu być zaangażowanie do filmu znanych asów „Wesołej fali lwowskiej" Szczepka i Tońka. I właśnie w ostatnich dniach jedna z krajowych wytwórni filmowych, posiadająca swe atelier w Warszawie, zdradziła nam swą wielką tajemnicę: narodziny nowej gwiazdy polskiego ekranu jaką będzie Jadwiga Kenda, śpiewaczka estradowa i radjowa, znana zwłaszcza radjosłuchaczom rozgłośni poznańskiej z wielu recitali śpiewaczych.

Wanda Kędziorówna — takie bowiem jest rodzinne nazwisko Jadwigi Kendy, — pochodzi z Poznania, gdzie znajduje się jej domowe ognisko i gdzie mieszkają jej rodzice; tam też odbywała studja, objęła swą pierwszą w życiu posadę i tam stawiała swe pierwsze kroki na polu artystycznem. Miejmy nadzieję, iż panna Wanda, dzielna i energiczna kobieta, obdarzona przytem wybitną urodą i pięknym liryczno-koloraturowym sopranem, już niedługo wsławi imię Poznanianek na całą Polskę, a nawet, jak się poniżej okaże, również i zagranicą.



Jadwiga Kenda w tualecie wieczorowej. Fot. Bil Warszawa.

„Nowonarodzona" gwiazda jest już oczywiście dorosłą kobietą! Doskonale zbudowana, w miarę wysoka, o bezpretensjonalnym, szczerym uśmiechu. Wita mnie z ujmującą uprzejmością w swym apartamencie w hotelu Bristol w Warszawie, gdzie zamieszkuje chwilowo na czas zdjęć do filmu. Przychodzę z pytaniem, które wrodzona ciekawość dyktuje z nieubłaganą koniecznością

— W jaki sposób panią „odkryto"?

Panna Wanda jest tem pytaniem zaskoczona:

— W takim razie przedewszystkiem muszę panu opowiedzieć dużo o Poznaniu — proponuje. — Zdarzyła się tam historja jak nie z życia, lecz z jakiejś powieści lub filmu. Pewna skromna urzędniczka Państwowego Archiwum, mieszczącego się w starym, romantycznym Zamku Przemysława w Poznaniu, miała swe biurko przy oknie na wysokiem piętrze. Z okna roztaczał się widok na położone niżej dachy miasta, oraz na szczyty drzew pobliskiego ogrodu. Rozumie pan, że taki widok doskonale usposabia do marzeń o jakiemś innem, ciekawszem życiu.

— Rozumiem to, a także domyślam się, iż ową urzędniczką Państwowego Archiwum była właśnie pani...

— No tak, oczywiście — mówi z uśmiechem panna Wanda. — Pewnego razu zwrócono mi uwagę, iż posiadam głos, który powinnam kształcić w śpiewie. Tak też uczyniłam i począwszy od roku 1928 zaczęłam pobierać lekcje śpiewu u wytrawnej poznańskiej nauczycielki prof. Marji Rogalińskiej-Daum. Już w dwa lata później, w roku 1930, wystąpiłam z recitalem w radjo. Nie potrzebuję dodawać, z jaką tremą stanęłam po raz pierwszy w życiu przed mikrofonem. Całe szczęście, iż w czasie mego śpiewu znajdował się w studjo tylko jeden człowiek — akompanjator; inaczej nie wiem, coby było. Głosem moim zainteresował się szczerze kierownik muzyczny rozgłośni poznańskiej prof. Łukasiewicz, w związku z czem i występy moje w radjo powtarzały się coraz częściej. Wreszcie w roku 1934 wystąpiłam z pierwszym, własnym koncertem publicznym, w którym wziął udział wymieniony wyżej prof. Łukasiewicz. Przyznać się muszę, iż również ten występ poprzedzała wielka trema ..

— No i? — pytam z zaciekawieniem.

— Widocznie za pośrednictwem radja musiałam zdobyć wielu sympatyków wśród mieszkańców Poznania, albowiem sala była wypełniona po brzegi. Nie potrzebuję dodawać, jak czułam się szczęśliwą. Za tym pierwszym koncertem, przyjętym bardzo życzliwie przez krytykę, poszły dalsze, nawet i poza Poznaniem, jak w Bydgoszczy oraz pamiętny koncert w Krakowie wraz ze znanym śpiewakiem operowym Zenonem Dolnickim.

— Jaki repertuar najlepiej pani odpowiada?

— Najchętniej śpiewam pieśni polskich kompozytorów: Moniuszki, Zarzyckiego i Białkiewiczówny...

— A którędy wiodła droga z radja i estrady do filmu?

— Niech pan sobie wyobrazi, że przez... Olimpjadę w Berlinie! W lecie ubiegłego roku pojechałam na Olimpjadę tak zwyczajnie, poprostu jako widz. Tknięta jakiemś przeczuciem, albo raczej — jak to się mówi — na wszelki wypadek, wzięłam ze sobą do walizki trochę nut. W Berlinie spotkała mnie miła niespodzianka. Oto ambasada polska za-

Dokończenie na str. 31.



DUDREWICZOWA.

KORONKI CZÓŁENKOWE

II.

Sześć najłatwiejszych koroneczek.

W poprzednim numerze „Asa“ podaliśmy dokładny opis techniki koronek czółenkowych. Umiejąc wykonywać opisane tam ściegi czółenkowe, można z łatwością zrobić sobie koroneczki, których wzory z opisem wykonania, podajemy obecnie.

Koroneczka Nr. 1. składa się z samych ząbków o kształcie listeczków.

Oto sposób jej wykonania: czółenkujemy 4 słupki (każdy słupek składa się w technice czółenkowej zawsze z dwóch półsłupków). Następnie robi się 1-no oczko, potem 7 słupków, znowu 1-no oczko, a wkońcu 4 słupki. Pociągnąwszy teraz nitkę z czółenka, zwężamy koło, któremi otoczone były 4 palce lewej ręki, aż ono się zamknie, tworząc listek o 15-tu słupkach, który ma pobokach po jednem oczku.

W pewnem oddaleniu od tego listka, robimy listek następny. Zostawia się na ten cel kawałeczek nitki pomiędzy wykonanym listkiem a punktem skrzyżowania nitki z czółenka na palcach lewej ręki. Po zrobieniu 4-ech słupków nie czółenkuje się oczka, lecz łączy listek wykonywany z 1-szym zapomocą szydełka. W oczko poprzedniego listka wkłada się szydełko i nabiera na nie nitkę z koła, (nie z czółenka), poczem przez to wyciągnięte oczko przeciąga się czółenko. Gdy już przeciągnięte, ściąga się silnie nitkę koła na lewo — i spojenie gotowe.

Tuż obok spojenia wykonuje się 7 słupków, potem jedno oczko, a wkońcu 4 słupki. Teraz zamyka się listek przez pociągnięcie nitki z czółenka na prawo.

Dalsze listki czółenkuje się już tak samo.

Wielkość ząbków-listków zależy od grubości nici i ilości wykonywanych w każdym listku słupków.

Koroneczka Nr. 2. składa się z półokrągłych ząbków, ściśle z sobą łączonych, o podstawie z pojedyńczej nitki. Podstawę tę tworzy podstawa każdego ząbka, powstała w każdym ząbku z niteczki, pozostawionej przy zamykaniu ząbka, gdy ściąga się nitkę z czółenka.

Skrzyżowawszy koło na lewej ręce, robi się jeden słupek, następnie naprzemian 9 oczek i 9 słupków, kończąc ząbek słupkiem. Teraz ściąga się nitkę z czółenka tak długo aż zbliżą się do siebie obie strony na żądaną szerokość ząbka. W następnych ząbkach robi się o trzy oczka z lewej strony mniej, a to dlatego, że odrazu łączy się je z oczkami, a wtedy opuszcza się dwa pierwsze oczka, wykonując ich tylko 7. Można też spajać ząbki większą ilością oczek, nawet 5—6. O tyle mniej oczek robimy też wtedy po lewej stronie ząbka, pozostawiając natomiast wszystkie po stronie prawej, bo tą stroną łączymy z niemi słupki następnego ząbka od jego lewej strony.

Koroneczka Nr. 3. czółenkuje się tak samo jak koroneczka Nr. 1. — z tą różnicą, że ozdabiają ją u góry każdego ząbka po 3 oczka czółenkowe. A więc ząbki mają kształt listków. Każdy z nich ma po 10 słupków, z tego 3 na początku i na końcu listka, a 4 słupki pomiędzy 3-ma oczkami. Pierwszy listek ma 5 oczek, a następnie już tylko po 4 oczka, a więc 3 wierzchołkowe i jedno z prawej strony do łączenia z następnym listkiem. Tak więc pierwsze oczko z lewej strony w pierwszym listku jest tylko ozdobą przy zaczęciu koroneczki.



Rys. I.



Rys. II.



Rys. III.



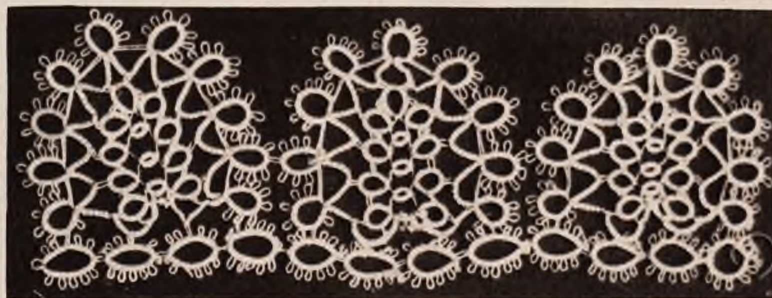
Rys. IV.



Rys. V.



Rys. VI.



Powyżej: Bardzo skomplikowana koronka czółenkowa.

Na lewo: Serwetka ozdobiona okrągłą koronką czółenkową.

Koroneczka Nr. 4. składa się z ząbków półokrągłych, bez żadnych oczek ozdobnych czy też służących do spajania. Ząbki mają podstawy z nitki. Ilość słupków dowolna. Można czółenkować je na 11 słupków — to będą maleńkie, ale gdy czółenkuje się je na 21 słupków, są znacznie większe. Wykonane z grubego kordonku służyć mogą do wykończenia większych i grubszych kap, serwet i t. p.

Koroneczka Nr. 5. o ile nie obszydełkowuje się jej brzegu, ma bardzo ciekawą linję falistą u dołu, skutkiem czego aplikowana do bielizny, tem ładniej się przedstawia. Gdy się brzeg szydełkuje, jest o wiele łatwiejsza do wszywania.

Składa się ona z dużych i małych listków, silnie u podstawy ściąganych. Listki dolne, mniejsze, łączą się na wierzchołkach swemi skrajnemi oczkami z oczkami na boku listków górnych, dużych.

Zaczyna się czółenkować tę koronkę od dużego listka z lewej strony. Po zrobieniu 3 słupków — 9 oczek z słupkami pomiędzy niemi — 3 słupki zakończenia. Teraz ściąga się zupełnie zamykającą listek nitkę. Po zamknięciu zostawia się kawałeczek nitki na jakieś 2 cm i czółenkuje się mały listek na 9 słupków. Po zrobieniu trzech pierwszych słupków, łączy się wykonywany listek z dużym listkiem na lewo przez jego ostatnie oczko. Następnie idą 3 słupki, tworzące wierzchołek małego listka, potem jedno oczko, które posłuży później do złączenia z następnym, dużym listkiem, ale dopiero po skończeniu będącego w robocie listka. Kończy się go znowu 3-ma słupkami, ściąga mocno, pozostawia znów 2 cm nitki i czółenkuje duży listek. Zaraz po zrobieniu trzech słupków, spaja się go w oczku wierzchołkowem małego listka, które w ty mcelu było tam zrobione. Teraz przychodzi 8 oczek, a między niemi po jednym słupku, oraz 3 słupki zakończenia.

(W pierwszym listku było oczek 9 — tu i we wszystkich następnych jest po 8, gdyż zamiast pierwszego oczka jest już spojenie dużego listka z oczkiem małego).

Dalszy ciąg koronki już sie powtarza automatycznie tak samo.

Koroneczka Nr. 6. obszydełkowana z jednej strony będzie mocniejsza, niżeli ta na wzorze. Gdy ją obszydełkujemy z dwu stron, utworzy odpowiadającą jej wstaweczkę. Wzór ten powstaje z samych kółek, czółenkowanych naprzemian raz na dole, raz na górze. Pomiędzy sobą spajane są kółka w bocznych oczkach czółenkowych. Pomiędzy rzędami kółek zosawia się odpowiedni kawałeczek nitki. Spojenie to jest bardzo delikatne i wiotkie, to też nici na tę wstaweczkę muszą być bardzo silne.

U góry i u dołu kółeczek robi się po 3 oczka czółenkowe, ale można robić też tylko po dwa oczka, byle tylko było o co zaczepić przy szydełkowaniu brzegów. Ilość słupków w kółku zależy od tego jak duże mają być kółka, stosownie do potrzeb zastosowania koroneczki czy wstaweczki.

W reprodukowanym wzorze kółka mają po 16 słupków i po 4 oczka czółenkowe. Zaczyna się robotę od górnego kółka. Czylenkuje się 4 słupki i 5 oczek, a między niemi po 2 słupki, co daje razem 8 słupków i na zakończenie kółka znowu 4 słupki. Razem słupków 16.

W pierwszem kółku wykonuje się 5 oczek, bo jedno z nich po lewej stronie kółka jest tylko ozdobą przy rozpoczęciu koronki. W następnych kółkach robi się już tylko po 4 oczka, z czego 3 oczka to ozdoba, a czwarte z prawej strony służy do spajania z następnem kółkiem.

Gdy górne kółko gotowe, ściągamy je i zostawiamy kawałeczek nitki. Na przewidzianem jej zakończeniu skrzyżować się musi nitkę po owinięciu czterech palców lewej ręki. To skrzyżowanie przytrzymuje się pierwszym palcem, czółenkując następnie dolne kółko tak samo jak górne. Po jego zakończeniu czółenkuje się podobnie kółko górne i tak naprzemian aż do zakończenia koronki.

* * *

Przy koronkach czółenkowych pamiętać trzeba, że ilość słupków jest tu zależna od gatunku nici. Nić lniana albo bawełniana może być płaska albo mniej lub więcej skręcona i stosownie do tego słupki będą albo miękie, nikłe albo grubsze i jędrne, a wtedy zajmą one więcej na tej samej przestrzeni w deseniu. Najlepiej więc wypróbować przed rozpoczęciem roboty przygotowane nici i stosownie do nich robić o jeden mniej czy jeden więcej słupek w deseniu.

c. d. n.

ŻYCIE
towarzyskie i artystyczne

WYSTĘPY OLGI SŁAWSKIEJ



ŚLUB PIERWSZEGO LORDA ANGLJI

Największym ewenementem towarzystwa londyńskiego stał się ślub młodego księcia Norfolku, będącego pierwszym księciem Anglji, z uroczą Lawinją Strutt, córką lorda Belper. Młody książę należy do najbogatszych właścicieli ziemskich Anglji, będąc również dziedzicem historycznego zamku Arundel Castle. Jest on, jako głowa domu Norfolków, dziedzicznym marszałkiem korony angielskiej. Nasze zdjęcie przedstawia pannę młodą w otoczeniu (po lewej) ks. Norfolku, oraz swego drużby hr. of Eldon. Fot. Wide World.



W kole: Na odbytym ostatnio festivalu tanecznym w Sopotach wystąpiła Olga Sławska, której produkcje spotkały się z aplauzem publiczności. Na zdjęciu, zamieszczonem powyżej Olga Sławska podczas ćwiczeń na wolnem powietrzu. Fot. W. K.

Z ŻYCIA STOW. POLSKO-FRANCUSKIEGO W TORUNIU

Ostatnio żegnało dobrze rozwijające się i spełniające swe zadanie Stowarzyszenie polsko-francuskie w Toruniu swego długoletniego prezesa p. sędziego Tadeusza Pietrykowskiego, który powołany został na stanowisko wiceprezesa Sądu Okręgowego w Katowicach. Herbatka pożegnalna minęła pod znakiem objawów szczerego uznania reprezentantów społeczeństwa toruńskiego dla ustępującego prezesa. Na zdjęciu grupa członków Stow. Pol.-Franc. z p. sędzią Pietrykowskim.



„TO WIĘCEJ, JAK MIŁOŚĆ" W KALISZU



W teatrze im. Bogusławskiego wystawiono w doskonałej reżyserji i inscenizacji dyr. Iwo Galla sztukę Bus Feketego. Na zdjęciu są widoczni: od lewej Hanna Libicka w roli Klary Monti, St. Dębicz jako prof. Czermak i Halina Gallowa w roli dr. Mihalik. — Fot. Z. Jędrzejczak, Kalisz.

Z TEATRU W STANISŁAWOWIE



Na lewo:

Jednym z ostatnich sukcesów stanisławowskiego teatru było wystawienie doskonałej komedji Birabeau p. t. „Woźny i minister". Opracowania reżyserskiego dokonał gościnnie na scenie stanisławowskiej występujący Stanisław Wasilewski, grający w sztuce rolę szefa woźnych. Zarówno gra Wasilewskiego, którego widzimy na naszem zdjęciu wraz z miłą odtwórczynią jednej z ról, Hitnarowiczówną, jak pozostałych artystów złożyły się na pełny sukces tej miłej komedji.

LAUREATKA NAGRODY PIĘKNOŚCI



Na prawo:

Wśród zabaw tegorocznego karnawału w Krakowie wyróżnił się korzystnie „Dancing-bridge", urządzony w dniu 16 ub. m. przez Towarzystwo Przeciwgruźlicze w salach Towarzystwa Lekarskiego. W czasie zabawy odbył się konkurs piękności, w którym pierwsza nagroda przypadła w udziale hrabiance Azie Grabowskiej z Kóz.

Na naszem zdjęciu widzimy hr. Grabowską w towarzystwie panów z komitetu zabawowego, bezpośrednio po wyborze na królowę piękności.

Możnaby w dwóch kierunkach snuć rozważania karnawałowe, wychodząc z tego założenia, iż szał zabaw i używania, jaki gdzieś od babilońskich aż czasów ludzkość ogarniał niezmiennie w pewnych okresach roku, obecnie ma się jakby ku schyłkowi. Albo w pochodzie kultury i zwiększonych intelektualnych i sportowych zainteresowań, przeżywa się zwolna to, co zwiemy zdawien dawna szałem karnawałowym, albo roztańczony przez rok cały i nie wydobyty jeszcze z dna kryzysu, świat, odsunął się od hałaśliwej manifestacji radości życia, gdy wokół szczerzy straszliwe szpony potęga nieogarniona ludzkiej nędzy...

A jest coś zdumiewającego w tym odwiecznym pędzie natury ludzkiej do zabawy, szału, tańca, ukrywania własnego oblicza pod dziwaczną maską, byle tylko zakosztować jak najwięcej pustej ale zawrotnej, dającej zapomnienie rzeczywistości, płochej rozrywki. Widzimy to na przestrzeni wszystkich wieków i ludów. Od Babilonu po djonizyjską Helladę, od saturnalji rzymskich po średniowieczny kult błazna, od rokokowych zabaw w Wenecji do nowoczesnych pochodów karnawałowych w Nicei i życia nocnego paryskiego karnawału.

...I płyną w barwnych korowodach bladzi pierroci i kolombiny, arlekin z dominem, czerwone djabły i poliszynele, dziwaczni królowie ze swymi błaznami, zmętne królowe i zakochani paziowie, brzydkie czarownice i dziewice z rozpuszczonym włosem, rozpustni winopijce z wypchanemi brzuchami i wszelkie pokraki, jakich tylko dostarczyć może fantazja, karnawałowo nastrojona na oderwane od normalnego życia tematy.

...gra muzyka w różne rytmy, z których najdłużej dzierży berło wiedeński walc. Pod jego rytm trójkowy zginają się nietylko nogi tańczących, ale zawraca on umysły i serca, podporządkowując mu uczucia i sens rzeczywistości, bodaj na tę jedną chwilę zapomnienia, o której zdobycie najłatwiej pokusić się człowiekowi w szale karnawałowym.

...gra muzyka i „grają" humory. Z korkami szampańskiego wina wystrzelają ku górze fontanny lekkich, perlistych, ponętnych słówek, pełnych werwy, dowcipu, swobody i bezpamięci. Perli się wino w kielichach i perlą się na tle wesołych rozmów i okrzyków delikatne słowa pochlebstwa, przypodobania, wdzięczenia się i miłości. Przez tę jedną krótką karnawałową noc. Ach, bodaj tyle szczęścia ukraść życiu, ile go dają bez trudu czerwone usta ponętnej kobiety, marzącej o niespełnionych pożądaniach szczęścia w ramionach ukochanego człowieka.

Lecz oto coś jakby psuć się poczyna w „udzielnem" księstwie wielkiego księcia karnawału. Nie porywa on już bezkrytycznych tłumów samym czarem swego istnienia. W poszczególnych krajach słychać wołanie o zachowanie tej wesołej tradycji, która dawała podstawę egzystencji wielu gałęziom wytwórczości i atrakcyjnie działała na ruch turystyczny, o który jakże zabiegają dziś wszystkie nacje świata.

Przychodzi im na pomoc wszechwładna propaganda, a surmy jej rozlegają się donośnie i ponętnie. „Higjena pracy umysłowej wymaga wytchnienia i beztroskiej rozrywki" — „W rytmie tańca i w wirze zabawy zgubisz gnębiące cię troski" — „Zrzuć z siebie maskę szarego człowieka i bodaj raz w roku przypomnij karnawał twych młodych lat"...

Poniżej: Pan w masce i dama w wieczorowym stroju. Rycina Callota.



Poniżej: Scena z pochodu karnawałowego w Rzymie w r. 1785.





Przy dźwiękach wschodniego tańca.

W ORSZAKU DJONIZOSA



Postacie karnawałowe według miedziorytów Jerzego Callota z XVII wieku.



Szampan i wiedeńska piosenka...



w niezrozumiałym rytmie rwące się dźwięki gitary.

Królestwo karnawału!

I wszystko byłoby dobrze, tylko ten zmęczony stępiały, szary człowiek, ma coraz mniej radości życia przy codziennym trudzie, więc jakże iść bez niej w ten tłum beztroskich, rozbawionych par!

Beztroskich?...

Czyż są dziś jeszcze tacy?...

Niema ich! Lecz sztuka życia każe szukać kalejdoskopowych zmian w codziennej szarzyźnie. Każe topić troski w rozrywce



Przyjęcie karnawałowe z czasów naszych prababek, według obrazu Pillatiego

I nagina karnawał swe wysokie aspiracje minionych czasów do tempa życia nowoczesnego człowieka. Podsuwa mu dobroczynne cele, biegnie za nim po terenach zimowych sportów, dotrzymuje kroku w organizacjach, urzędach, gdzie podsuwa tematy rozmowy dla zyskania nowych zwolenników w szarej masie, przykutego do taczek obowiązku, życia.

Naprzekór wszystkiemu wznosi hasło błyszczenia strojem, urodą, walorami towarzyskiemi. Już nie skromna sukienka, lecz wspaniała tualeta balowa. Już nie skromne uczesanie, lecz wielka fryzura z kwiatami i piórami, jak za dawnych dobrych czasów. Karnawał jest coraz bardziej repreztacyjny w swych zewnętrznych formach. Dobrze skrojony i dobrze noszony frak, to mundur galowy na dworze księcia karnawału.

Chcesz iść na bal maskowy, to nie wystarczy jakiś pomysł przebrania. Trzeba wysilić fantazję, tworzyć kostjumy niebanalne, szukać i wertować za dobremi wzorami z przeszłości, no, i tak dobrać kostjum do swej urody, by ją korzystnie podkreślić, uzupełnić i podnieść.

Jarzą się tysiące świateł na sali balowej. Jest jaśniej aniżeli w dzień. Gra muzyka. Oszałamiają rozbieżne dźwięki kilku orkiestr. Tu rumba, tam upojne tango. Tu

Na prawo: „Manhattan-boy" gra na flecie.

i zapomnieniu. Ot, poprostu dla samej gimnastyki psychicznej, której rezultaty są stokroć lepsze od zapamiętywania się w ciasnym kręgu swego życia.

K a r n a w a ł to świetna sposobność nauczenia się tej sztuki. Ułatwi ją obserwacja współtowarzyszów zabawy. Potem już pójdzie łatwiej i bez karnawału. Łatwiej o zdrowy — beztroski, choć niechętny — śmiech. Łatwiej o szlifowanie słów, których pyszne rakiety jakże długo nieraz cieszyć potrafią i autora i słuchających.

Przeżywamy dążenia do renesansu karnawału i dni zapustnych. Renesansu kostjumów. Renesansu dobrych humorów i werwy życiowej.

Oto przesuwa się nam przed oczyma ponętny pochód masek w olśniewająco jasnej sali balowej. Pod kolumnami i na szerokich schodach foyer, pod stiukami i kasetonami sklepień, od jednego końca w drugi, pomykają w tanecznym wirze piękne kostjumy „made in 1937": figurynki z staroświeckich kart do gry, żywe portrety Rubensa czy Rembrandta, renesansowe damy i kawalerowie, grupa uczestników rokokowej nocy weneckiej, damy w splendorach biedermajerowskich ciężkich szat, wizerunki naszych prababek, niby zdjęte ze staroświeckich portretów, paziowie i księżniczki...

Nie koniec na tem: oto reprezentantka sportu kolarskiego na przełomie naszego wieku, z długim gazowym szalem u kapelusza. Za nią tennisistka, kostjum kąpielowy z przed lat 50-ciu, amazonka w cylindrze... słowem pochód pionierek sportu kobiecego.

Wybuchy śmiechu, okrzyki podziwu, zalotne uśmiechy w stylach wieku epok... a z góry padają gwiazdki konfetti, nieuchwytne, kolorowe, zwiewne, jak dźwięki tańców, któremi brzmią fale powietrza.

Karnawał! Maskarada! Ostatki! Bawmy się wszyscy!

(H-a).





Kotyljon w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

PIKANTNY SOS POSTNY ŚLEDZIOWY. Dwa śledzie należy wymyć, obciągnąć ze skórki i namoczyć na 12 godzin w mleku; następnie oczyszcza się je z ości, sieka drobno, daje do rondelka, dodaje kawałek cebuli, zalewa kieliszkiem kwaśnego wina, zagotowuje i ostudza. Osobno robi się zasmażkę z łyżki masła i mąki, dodaje ugotowanego śledzia, łyżkę siekanych koperów i pół szklanki śmietany, roztrzepanej z żółtkiem. Szczyptą soli i cukru dorabia się smak. Dla amatorów troszkę korzeni.

ZUPA Z WŁOSKIEJ KAPUSTY i BURAKA. Małą główkę włoskiej kapusty poszatkować i sparzyć wrzątkiem; większy obrany busak kraje się w cienki makaron i wraz ze sparzoną i odcedzoną kapustą zalewa się litrem wody. Dodać grzybka, ząbek czosnku i kawałek cebuli oraz marchewki, poczem gotować wszystko, aż cała jarzyna zmięknie. Z łyżki masła i mąki robi się jasną zasmażkę, zalewa 1/4 l śmietany, podprawia zupę, z której odrzucono tylko cebulę, czosnek i marchew. Chcąc zupę tę mieć pożywniejszą, dodaje się do gotowania kawałek mięsa (15—20 dkg), które się podaje w zupie drobno skrajane. Zupa jest dość gęsta, więc żadnych dodatków więcej nie wymaga.

KOTLECIKI Z WŁOSKIEJ KAPUSTY Z SOSEM. Ugotowaną w słonej wodzie główkę włoskiej kapusty wyciska się z wody (najwygodniej w serwecie), sieka drobno lub przemiela, dodaje jajecznicę z dwóch jaj i jedno surowe jaje, szczyptę pieprzu i soli oraz tyle tartej bułki, aby się dały formować małe, jak dłoń, a grube na palec kotleciki, które się wysmaża w mieszanym tłuszczu i układa na półmisku, otoczone puree ziemniaczanem, lub zwykłemi tartemi albo przeciskanemi ziemniaczkami. Osobno podaje się **sos**, który się przyprawia z zasmażki i łyżki masła i mąki, zalewa mlekiem lub śmietaną i zaprawia ekstraktem grzybowym.

PASTA DO KANAPEK. 10 dkg szynki, 10 dkg dobrej kiełbasy, 2 twardo ugotowane jaja, 10 dkg bryndzy lub ostrego sera, oczyszczonego z ości śledzia pocztowego zemleć na młynku od mięsa i wymieszać dokładnie z 10 dkg masła deserowego, roztartego naprzód na pianę z łyżką oliwy, łyżką musztardy i żółtkami poprzednio wymienionych dwóch jaj. Dość grubo nałożone tą pastą kanapki (tartynki) przybiera się koperkami, groszkiem i t. p.

SŁONE CIASTKA DO HERBATY są widziane szczególnie przez panów chętniej niż słodkie pieczywo. Podaję wobec tego parę dotyczących przepisów.

OSTRE PLACUSZKI SEROWE. 12 dkg masła, po 6 dkg zmielonego eidamera i ementalera oraz 6 dkg roquefortu zagnieść szybko z 12 dkg mąki i 1 żółtkiem na gładkie ciasto, odstawić na godzinę, następnie wywałkować na grubość grzbietu noża, wycinać placuszki, które się smaruje białkiem, posypuje parmezanem i piecze w gorącym piecyku na złoty kolor.

KRUCHE ŁÓDECZKI Z MAJONEZEM RYBNYM. 15 dkg mąki i 8 dkg masła, szczyptę soli i 1—2 łyżek kwaśnej śmietany, zagnieść szybko na ciasto, wykładać niem posypane mąką foremki, upiec je, ostrożnie wyłożyć z foremek na płytę lub płaski półmisek i po wystudzeniu nakładać następującym majonezem: 2 jaja, 4 łyżki oliwy, 2 łyżki rosołu, łyżkę octu, łyżeczkę musztardy i troszkę soli ubić na parze na gęsty krem, do którego dodaje się po wystudzeniu jeszcze 4 łyżki oliwy, a to kroplami wśród ciągłego ubijania. Wkońcu miesza się majonez z gotowaną w słonej wodzie pokruszoną drobno rybą. Możnaby też w miejsce świeżej ryby użyć jakąś konserwę rybną z puszki. Także drobno pokrajana pieczeń cielęca lub coś z dziczyzny, z mieszane z majonezem nadają się do tego celu.

SŁONE PALUSZKI ZIEMNIACZANE. 14 dkg pieczonych przetartych ziemniaków, 10 dkg mąki i 10 dkg masła, 1 żółtko, troszkę soli, zarabia się na ciasto i formuje wałeczki wielkości palca, smaruje rozkłóconem żółtkiem, posypuje solą i kminkiem i piecze w gorącym piecyku na rumiano. Są doskonałe, ale tylko świeże.

Se. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Jednym z poważniejszych kłopotów pań domu jest gotowanie bielizny, podczas którego nieraz się zdarza, że „wykipia" ona poza brzegi garnka. Zreprodukowane obok urządzenie w postaci siatki drucianej, którą się nakłada na garnek zabezpiecza bieliznę przed tą możliwością, stając się wysoce praktycznym rekwizytem gospodarstwa domowego. Pierwszy raz zaprodukowano ten wynalazek na wystawie poradni pań domu „Heibaudi" w Berlinie.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 7 — **Luty** — 28 dni

NIEDZIELA **7** Romualda	Zupa szczawiowa /z konserw/ z ryżem. Paszteciki francuskie z móżdżkiem. Kapłon nadziewany mięsem z kompotem. Tort pomarańczowy. Kolacja: Mieszana wędlina z pikantnym sosem.
PONIEDZ. **8** Jana z Malty	Rosół z grzybkiem. Sztuka mięsa zapiekana z chrzanem. Pieczeń na dziko z makaronem i buraczkami. Omlety z konfiturami. Kolacja: Cielęce nóżki w cieście z sałatką mieszaną.
WTOREK **9** Apolonji p.	Zupa z drobiu z perłówką. Rizotto z podróbkami. Gęś lub kaczka z czerwoną kapustą. Chrust /faworki/ z miodem. Kolacja zapustna: Zimny drób lub befsztyki z fritkami, poncz, kanapki, słone ciastka, pączki, grog.
ŚRODA **10** Popielec †	Barszcz na grzybach. Kotleciki jarzynowe z sosem. Biała ryba z wody z sosem chrzanowym z cytryną i tartemi ziemniaczkami. Budyń ryżowy z sokiem malinowym. Kolacja: Sałata ziemniaczana z śledziem.
CZWARTEK **11** Łucjana	Zupa z włoskiej kapusty i buraczka. Salsefia w sosie holenderskim. Gigot z pieczeni baraniej z marchewką i groszkiem. Kompot z suchych śliwek i pomarańczy. Kolacja: Omlet naturalny z szynką.
PIĄTEK **12** Eulalji	Krupnik na śmietanie. Budyń bułkowy z serwety z masłem. Sandacz lub dorsz duszony w sardelowym sosie. Strudel makowy. Kolacja: Kanapki z pastą śledziową lub biklingową.
SOBOTA **13** Katarzyny Ricci	Rosół z fasolką lub płatkami. Kruszka cielęce smażone z bułeczką. Pieczeń sarnia z brusznicami i makaronem. Biszkopt z sosem waniljowym. Kolacja: Parówki w sosie pomidorowym.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z N-ru 5-go.



Rozwiązanie krzyżówki z N-ru 5-go „ASA".

ZADANIE Z WAGAMI.

Ponieważ obaj panowie ciągną z siłą 40 kg, to każda poszczególna waga wskaże 40 kg, bo napięcie musi być wszędzie jednakowe, niezależnie od ilości wag i wynosić będzie 40 kg.

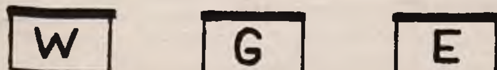
ROZRYWKI UMYSŁOWE

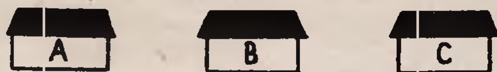
SREBRO I ZŁOTO.

Kawałek złota, który waży w powietrzu 19 gramów, w wodzie waży już tylko 18. Kawałek srebra, ważący w powietrzu 21 gramów, w wodzie waży 19.

Ile trzeba użyć gramów złota i srebra do stopu, który w powietrzu ważyłby 100 g, a w wodzie tracił na wadze 8 gramów?

WODA, GAZ i ELEKTRYCZNOŚĆ.





Rysunek przedstawia stację wodociągów, gazownię i elektrownię oraz trzy domy, nazwane kolejno literami A, B i C. Czy wogóle można — i w jaki sposób — przeprowadzić odpowiednie przewody wodociągowe, gazowe i elektryczne tak, by prowadziły one od odnośnych centrali do każdego z domów, nie przecinając się wzajemnie.

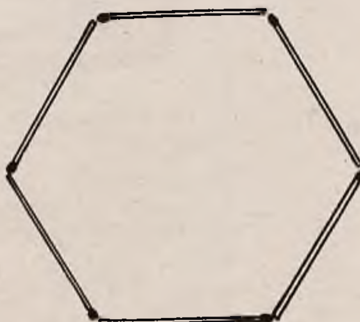
PODZIAŁ SPADKU.

Pan Skowronek pozostawił w spadku swym synom Adamowi i Bolesławowi 10.000 zł. Jeśli jedną trzecią spadku Adama odejmiemy od jednej czwartej spadku Bolesława, reszta będzie wynosić 1.100 zł. Ile wynosi spadek każdego z synów pana Skowronka?

WSKAZÓWKI ZEGARA.

— Wczoraj między drugą a trzecią godziną — opowiada profesor Sekundnik — popatrzyłem na zegar i pomyliłem wskazówki dużą z małą, tak, że wydało mi się, że była godzina wcześniejsza o 55 minut, niż w rzeczywistości. Którą godzinę zegar faktycznie wskazywał?

SZEŚCIOKĄT I ROMBY.



Proponujemy czytelnikom utworzyć z sześciu zapałek sześciokąt. Następnie przesuwając tylko 2 zapałki i dodając jedną, zbudować dwa romby.

KURCZĘTA.

Kupiec kupił kurczęta za 60 zł. i pozostawiwszy do własnego użytku 15 ptaków, pozostałość sprzedał za 45 zł., zarabiając tylko 10 gr. na każdej kurze. Ile kurcząt kupił?

WIEK NIEBOSZCZYKA.

— Moja droga pani, pobraliśmy się z mężem nieboszczykiem w 1900 roku. A gdy umierał, to miał dwadzieścia dziewięć razy mniej lat, aniżeli wynosił rok jego urodzin. Z tych szczupłych danych można obliczyć datę urodzenia nieboszczyka. Ile więc miał lat, żeniąc się?

RODZINA.

Małżeństwo ma troje dzieci, Janka, Basię i Marysię, a różnica lat między małżonkami jest taka sama, jak między Jankiem a Basią i Basią a Marysią. Lata Janka i Basi pomnożone przez siebie dają lata ich ojca, natomiast lata Basi i Marysi pomnożone przez siebie dają lata ich matki. Suma lat rodziców i dzieci wynosi 90. Ile lat liczy każde z małżonków i każde z dzieci?

TEST NA INTELIGENCJĘ.

W szkole przy badaniu inteligencji dzieci zastosowano następujący test: „Pewien angielski oficer, po okropnych przeżyciach w czasie buntu bokserów w Chinach, wrócił do kraju. W kilka lat później, siedząc z żoną w kościele, zasnął w czasie kazania. Miał potworny sen. Jakiś zakrwawiony Chińczyk zbliżył się ku niemu, by mu obciąć głowę i kładł mu miecz na obnażoną szyję. W tej chwili właśnie, żona oficera, chcąc go zbudzić, dotknęła lekko wachlarzem szyi męża. Wstrząs był tak wielki, że oficer zmarł nagle z przerażenia.

Dzieci miały wskazać na błąd w tem opowiadaniu. Proponujemy czytelnikom uczynić to samo.

HUMOR ZAGRANICZNY

KŁOPOTY POLICJANTA.



— Ale kto właściwie prowadzi auto?

„Ric et Rac".

OSTATNIA CHWILA!



— Panie, niech się pan spieszy, za 10 minut kończy się moja polisa ubezpieczenia przeciwko włamaniu! *„Ric et Rac".*

Dokończenie ze str. 25.

prosiła mnie do wzięcia udziału w koncercie, zorganizowanym przez Instytut Polsko-Niemiecki. Kierownikiem artystycznym tego koncertu był pan Schulz-Dornburg, znana osobistość w świecie filmowym, który niezwłocznie po koncercie oświadczył mi, iż przeczuwa w moim głosie dobre zalety radjofoniczne, a co zatem idzie, „kinofoniczne", że wobec czego powinnam śpiewać w filmie dźwiękowym.

— Właśnie w tym czasie — ciągnie dalej swe ciekawe opowiadanie pani Kenda — pewne koła niemieckiego przemysłu filmowego prowadziły rozmowy z polskim przemysłowcami filmowymi na temat niecodziennego eksperymentu, a mianowicie nakręcania obrazu, który ukazałby się w dwóch wersjach: polskiej i niemieckiej. Pan Schulz-Dornberg ułatwił mi dokonanie w Berlinie próbnych zdjęć filmowych, które dały wynik dodatni. Początkowo inna aktorka miała grać wersję niemiecką, inna zaś wersję polską. Ze strony niemieckiej wysunięto kandydatury kilku czołowych śpiewaczek filmowych niemieckich. I tu właśnie — mówi z radością pani Kenda — zaczyna się mój największy triumf. Dzięki temu, iż władam poprawnie językiem niemieckim, pobiłam wszystkie niemieckie konkurentki i grać będę w obydwu wersjach to jest tak w polskiej, jak i niemieckiej. Zdjęcia do filmu już się zaczęły, a realizację jego powierzono całkowicie jednej z naszych polskich wytwórni filmowych.

— Więc marzenia skromnej urzędniczki z Archiwum ziściły się — kończę naszą rozmowę. — Serdecznie pani winszuję!

— Dziękuję! — było ostatniem słowem w wywiadzie z Jadwigą Kenda.

Romit.

To warto poznać..

NA SCENIE.

W warszawskim **Teatrze Narodowym** wystawiono sztukę irlandzkiego pisarza Denisa Johnstona **„Księżyc w żółtej rzece“**, którą następnie przeniesiono do Teatru Małego.

Sztuka powitana została bardzo rozbieżnemi sądami krytyków, wielu nawet oceniło ją bardzo surowo. W najnowszym numerze „Pionu“ świetny krytyk **Karol Irzykowski** rozpoczyna recenzję od stwierdzenia, że jest to **„znakomita sztuka,** lecz potrzeba pewnego wyrobienia literackiego, żeby wyczuć jej efekty artystyczne i trzeba także pewnego wyrobienia socjalno-polityczneg, aby docenić, ile treści i perspektyw zmieścił autor w szczupłych stosunkowo ramach. Zjednoczyła jednak widzów analogja Irlandji do Polski, dość często wychylająca się z pośród scen dramatu. Wielu widzom przypominało



Dora Kalinówna, świetna recytatorka, filar teatrzyków artystyczno-kabaretowych, występuje obecnie w „Cyruliku Warszawskim“.

się „Wesele“, ale jabym zwrócił uwagę na pokrewieństwa ideowe z „Lillą Wenedą“, gdzie narodowi zdobywczemu i brutalnemu przeciwstawiony jest naród poetyczny, który wierzy — w harfę. Irlandczycy, to Wenedzi, lecz ukazani w świetle humoru, — jeden w drugiego oryginały i dziwaki bez różnicy płci i wieku. A przytem wszyscy jacyś niewspółcześni — towarzystwo ujrzane jakby z oddalenia, takiego jakiem Mickiewicz widział świat szlachecki z „Pana Tadeusza“.

Aktorzy w sztuce tej mają dużo pola do popisu, i dobrze grają: Solska, Buszyński, Woskowski, Damięcki, Socha i Dominiak.

W **Cyruliku Warszawskim** dano nowy program p. t. **„Cabaretissimo“**. Jest to „karnawał literacki“, do którego zabawne teksty dali przedewszystkiem: Hemar i Słonimski. M. in. publiczność doskonale bawi się skeczem napisanym przez Hemara, będącym rozmową między szarą eminencją teatrów T. K. K. T. Kadenem Bandrowskim a pomnikiem Bogusławskiego. Pointa dowcipnego dialogu jest taka, że Bogusławski schodzi z pomnika, żeby dźwignąć poziom teatrów, a Kaden-Bandrowski wchodzi na piedestał, gdyż wtedy będzie unieruchomiony z korzyścią dla kultury teatralnej. Cały zespół „Cyrulika“ kapitalnie bawi publiczność, a przedewszystkiem Jarosy, Dymsza, Znicz, Olsza, Józef Kondrat, Dora Kalinówna, Grossówna, Minowicz i Koszutski.

Drugi warszawski teatrzyk rewjowo-kabaretowy **„Teatr 13 rzędów“** dał nowy program p. t. **„Co wolno wojewodzie“**. Atrakcją artystyczną wysokiego gatunku tego programu jest udział Toli Korjanówny, która śpiewa francuskie piosenki z niebywałym wirtuozostwem. Obok Toli Korjan, którą publiczność najgoręcej oklaskuje, na uznanie zasługują: Andrzejewska, Nobisówna, Godlewska, Krukowski, Ton i Lawiński.

(b).

NOWE KSIĄŻKI.

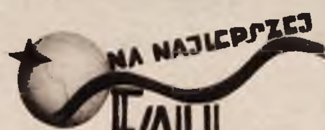
Dzieła biograficzne, stworzone przez Plutarcha, cieszą się i dziś wielką poczytnością, będąc odrębnym gatunkiem twórczości naukowo-literackiej. Szczególnie ten dział literatury znalazł podatny grunt w Anglji, w kraju słynącym z kultu jednostki. Czołowym współczesnym twórcą tego gatunku literackiego stał się w piśmiennictwie angielskiem **Lytton Strachey**, który w roku 1918 wydał zbiór szkiców biograficznych p. t. „Wybitni Wiktorjanie“.

Książkę tę poprzedził Strachey przedmową, która stała się głośnym jego manifestem literackim. W przedmowie tej stwierdza Strachey, że życiorys „ten najsubtelniejszy i najbardziej ludzki gatunek sztuki pisarskiej, przydzielony został wyrobnikom literatury. Dziwne to jest, że nam nie przychodzi na myśl, iż dobrze opisać życie jest rzeczą jednakowo trudną, jak dobrze przeżyć życie. Owe dwa grube tomy, które były typowe dla dotychczasowej biografji — komuż to one nie są znane, komuż to nie jest znana ich źle przetrawiona masa materjału, przy niedbałym stylu, przy mdłych panegirykach, przy opłakaniu godnej nieudolności w doborze faktów, przy braku objektywizmu i planu?“

Strachey stał się twórcą nowego gatunku biograficznego, starając się połączyć wartości naukowo-historyczne z artystycznem ujęciem literackiem Przedewszystkiem starał się spojrzeć na swoich bohaterów, jak powiada autor pracy o Stracheyu T. Grzebienowski, „nie pod kątem tych właściwości, które rzucały się w oczy z perspektywy piedestału, lecz przedewszystkiem ze strony tego, co im wszystkim, mimo że wyniesione wysoko ponad resztę przeciętnych śmiertelników było wspólne z resztą rodzaju ludzkiego“.

Obecnie w przekładzie polskim nakładem „Roju“, ukazały się dwie świetne biografje Stracheya **„Królowa Elżbieta i hrabia Essex“**, oraz **„Królowa Wiktorja“**. Kreśli w tych dziełach Strachey niezwykłe dzieje życia dwóch królowych Anglji, uwypuklając znakomicie z niebywałą wnikliwością ich psychiczne wizerunki.

(b).



Niedziela, 7 lutego.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa. Po nabożeństwie „Orkiestra i soliści“ (płyty).
12.03 Koncert rozrywkowy.
14.25 Reportaż z parowozowni lwowskiej.
14.50 „W zapusty z podkoziołkiem“, słuchowisko regjonalne.
15.30 Audycja dla wsi.
16.30 Słuchowisko sportowe: „Na alarm“.
17.00 Koncert symfoniczny (z Katowic).
19.00 „Młody Sienkiewicz w świetle nowych listów“ — szkic.
19.20 Muzyka taneczna (płyty).
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali“.
21.30 Utwory fortepianowe w wyk. J. Turczyńskiego.
22.10 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego gra do tańca.
23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 8 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.05 Muzyka polska (płyty).
15.15 Koncert solistów.
15.55 „Wszystkiego po trochu“ — audycja dla dzieci.
16.30 Koncert chóru „Orzeszkowianek“.
16.50 „Co Polska wniosła do kultury“.
17.05 „Ucichły kastaniety“ — reportaż muzyczny.
17.50 „Łzy oceanu“ — pogadanka.
19.30 Ludowa Kapela F. Dzierżanowskiego.
20.00 Muzyka taneczna.
21.00 „Przy literackim stoliku“.
21.30 „Szczęśliwy połów“ — opera.
22.30 „Mieczysław Karłowicz w Tatrach“.
23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, 9 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert południowy w wyk. ork. dętej huty „Pokój“.
15.15 „Z twórczości operowej Thomasa i Masseneta“.
16.30 VII audycja „Sonaty skrzypcowe Beethovena“.
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich“ — powieść mówiona.
17.15 Koncert łódzkiej Orkiestry Salonowej.
18.00 „Wyjazd do ślubu“ — fragment z „Wesela na Kurpiach“.
19.20 „Międzypusty, zapusty — nie chcemy jeść kapusty“.
20.00 „Nie tak prędko panie Drucil“, skecz.
20.15 „Kuligiem do morza“ — fantazja na tematy polskie.
21.00 „W ostatni dzień karnawału“.
22.30 „Płyta za płytą“ — muzyka taneczna.
23.00 Muzyka taneczna z dancingu „Cafe Club“ w Warszawie.

Środa, 10 lutego.

6.30 Audycja poranna.
12.03 Ludwik van Beethoven (płyty).
15.15 Koncert zespołu Haliny Adamskiej-Grossmanowej.
16.25 „Tito Schipa śpiewa piosenki“ (płyty).
17.00 „Walka ze szpiegostwem“ — odczyt.
17.15 J. S. Bach: „Oda żałobna“ (Trauerode) — kantata nr. 198.
18.50 Capstrzyk Marynarki Wojennej z Gdyni.
18.51 Przemówienia.
19.10 „Hymn Bałtyku i Pieśni o Morzu“.
19.25 „Sejm Morski“ — reportaż historyczny.
19.45 „Pieśń o Gdyni“.
19.50 „Gdynia“ — żywe migawki z portu.
20.10 „Pieśni ludu kaszubskiego“.
20.30 „Apel miast polskich“ — audycja zbiorowa.
20.45 Polonez A-Dur Chopina.
21.00 „Morze w muzyce i poezji“.
22.00 „Głos mają nasi pionierzy kolonialni“.
22.15 „Od portu do portu“.
23.00 Pozdrowienia dla naszych statków na morzach oraz życzenia od załóg statków polskich.
23.10 Orkiestra Marynarki Wojennej.

Czwartek, 11 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych.
12.03 Koncert Orkiestry Policji Państwowej.
15.15 „Wiolonczela, fortepian i flet“ (płyty).
16.35 „Higjena psychiczna w wychowaniu“ — odczyt.
16.50 „Godzina bajek“ — koncert.
19.00 Premjera słuchowiska poetyckiego „Mozart i Salieri“ Puszkina w setną rocznicę zgonu A. Puszkina).
21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich“ — „Lucja Drege-Schielowa“.
21.45 „Płyty dla znawców“.
22.30 Muzyka lekka w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Piątek, 12 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Uczniowie Zygmunta Noskowskiego (płyty).
15.15 Koncert Tria Salonowego Polskiego Radja.
16.30 Muzyka operowa (płyty).
17.00 „W kraju wiatraków i rzek płynących w górę“ — feljeton.
17.15 Mozart: Divertimento Es-Dur na skrzypce, altówkę i wiolonczelę.
19.20 „Z pieśnią po kraju“.
19.45 Fragment operowy.
20.00 VI — „Instrumenty orkiestry symfonicznej“.
20.15 Koncert symfoniczny.
22.30 „Powiedz mi co czytasz, a powiem ci kim jesteś“.
22.45 Muzyka lekka.

Sobota, 13 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Śpiewajmy piosenki“.
12.03 Zespół kameralny Niny Mańskiej.
14.30 „Wesoła audycja“ dla dzieci.
15.15 Janusz Popławski, Stefan Witas i orkiestra Barnaby Geczy. Koncert rozrywkowy (płyty).
16.15 Popularne melodje Czajkowskiego.
17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą
19.30 Koncert Orkiestry Polskiego Radja.
21.00 „Poezja Tetmajera w muzyce“, audycja muzyczna.
21.45 Wesoła Syrena „Lekarze pod nożem“.
21.15 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.